

HISTORIA SPORTU

**SPISANA PRZEZ
FRELKA
FRANCISZKA**

PARYSÓW' 1956

Moja przygoda ze sportem miała miejsce w mojej najwcześniejszej młodości. Rozpocząłem kopanie piłki jak każdy młokos. Tak samo czynili to moi koledzy. Przed nami na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych grali w piłkę nasi starsi koledzy. Poświęcę im trochę miejsca w moich wspomnieniach. Większość z nich uczęszczała do różnych szkół- przeważnie ogólnokształcących i przyjeżdżała na wakacje do Parysowa. Właśnie podczas wakacji nasi poprzednicy rozgrywali mecze towarzyskie na Targowicy.

Były to wielkie wydarzenia zważywszy, że w tamtych latach nie było nie tylko telewizji, ale nawet radia.

Parysów nie był jeszcze zelektryfikowany. Razem ze swymi rówieśnikami chodziłem na te mecze. Z tego, co pamiętam grali przez trzy lub cztery sezony po dwa lub trzy mecze w Parysowie. Jeździli też na rewanże. W drużynie tej grali: Stanisław Frelek, Marian Zając, Zdzisław Frelek, Waław Oskroba, Piotr Frelek, Waław Pacek, Wiktor Całka, Zdzisław Bachański, Franciszek Nikita, Karol Ponceleusz i Stefan Frelek. Był to podstawowy skład, wymieniłem ich od bramkarza do lewoskrzydłowego. Kilka razy drużynę zasilali Zdzisław Zabiegałowski, który z Myśliborza (tam wyjechał po wojnie z rodzicami) przyjeżdżał w odwiedziny do Parysowa. Przez drużynę moich starszych kolegów jak przez każdą przewinęło się jeszcze drugie tyle zawodników. Spróbuję ich starszymi kibicami tymi, którzy jeszcze żyją przypomnieć.

A więc byli to Jan Nowosielski, Ryszard Rogowski, Władysław Legat i Stanisław Serżysko.

Trudno mi szczegółowo opisać mecze, których kolejność i przebieg zacierają się w mojej pamięci. Z tego, co pamiętam, u siebie, czyli w Parysowie, nie przegrali żadnego meczu. Grali z Trąbkami, Pilawą, Garwolinem i Stoczkiem kilka razy. Najciekawsze były dwa mecze rozegrane ze Stoczkiem. U siebie wygrali (ze Zdzisławem Zabiegałowskim i Frankiem Nikitą) 4:2, a rewanż w Stoczku bez Zdziśka Zabiegałowskiego przegrali 0:3. Wszystkie mecze w Parysowie oglądałem ze swoimi 12-13-letnimi kolegami z wielką przyjemnością. Było to dla nas wielkie przeżycie. W ostatnich meczach, jakie rozegrali nasi starsi koledzy skład się w sposób znaczący zmienił. Nie przyjeżdżał Zdzisiek Zabiegałowski, wyjechał z Parysowa Franek Nikita, zmarł Piotr Frelek. Inni też przestali z różnych względów grać, tak bywa w każdej drużynie. Okaże się, że przez drużynę, w której grałem ja, przewinęło się też ponad dwudziestu zawodników. Z drużyny moich starszych kolegów, którym poświęcam trochę miejsca, wielu już nie żyje. Są to: Władysław Legat, Piotr Frelek, Marian Zając, Waław Oskroba, Wiktor Całka, Ryszard Rogowski, Karol Ponceleusz.

Myślę, że przynajmniej kilkadziesiąt zdań warto jest poświęcić dla tych, którzy byli inspiratorami sportu w Parysowie, tym bardziej, że jak już wspomniałem wielu z nich nie żyje. W końcowej ich przygodzie z piłką mieliśmy z kolegami po szesnaście lat i rozegraliśmy z nimi mecz towarzyski. Drużyna naszych starszych kolegów była już w rozsypce, a my mieliśmy rozpocząć swoją przygodę z piłką. Zremisowaliśmy wtedy na Targowicy 4:4. Kilku z nas już wtedy zwróciło na siebie uwagę. Rozegraliśmy jeszcze kilka meczów towarzyskich z Trąbkami, Pilawą i Garwolinem. Z Pilawą u siebie

wygraliśmy 3:2, a na wyjeździe przegraliśmy 0:2. Najbardziej zapamiętałem przegrany mecz 4:5 z juniorami Garwolina. My też byliśmy jeszcze juniorami. W tym czasie na kilka wakacyjnych dni przyjechał do mnie kolega ze szkoły Koreańczyk Se-Kwan-Džo. Najbardziej przeżył on tą minimalną przegraną. Ze złości aż się rozplakał, nie mogłem go po meczu uspokoić. Wmówił w siebie, że przez niego przegraliśmy. Grał przecież dobrze. Był bardzo ambitny. Uważał, że aby zrobić miejsce dla niego w drużynie wyeliminowali innego kolegę z Parysowa. Tak przecież nie było, bo jak wspomniałem grał dobrze i w składzie mieścił się swobodnie. Grałem z nim w szkole i widziałem, jaką wartość sportową swoją osobą przedstawia. Muszę powiedzieć, że skład, z tego, co pamiętam, mieliśmy niezły.

Grał z nami Wiesiek Zabiegałowski (młodszy brat Zdziśka), który był dla nas dużym wzmocnieniem. A jednak przegraliśmy. Kolejności padających bramek nie zapamiętałem. Sędziował nam Marian Zajac. Wtedy wydawało mi się, że sędzia był zbyt gościnnie dla naszych przeciwników. Choć stronniczego sędziowania ja nie oczekiwałem, to jednak po tym meczu czułem pewien niesmak. A może nie miałem racji? Nie pomogła nam po przerwie grająca orkiestra braci Piłków. Ci starsi panowie przygrywający nam prawie cały czas bardzo nam chcieli w ten sposób pomóc. Szczegółów pozostałych meczów nie zapamiętałem.

Na poważnie rozpoczęliśmy grać w 1956 roku. Były to już tzw. Mecze mistrzowskie. Rozpoczęliśmy od najmniejszej klasy „D”, bo tylko taka była możliwość. Pamiętam, że pierwszy mecz rozegraliśmy wiosną 1956 roku z Wygodą. Przegraliśmy tam jedną bramkę.....Grał z nami Zdzisiek Bachański z dawnej drużyny. Przegrywaliśmy do przerwy w takim stosunku bramkowym. Wtedy, gdy się przegrywa wszyscy do wszystkich mają nie zawsze uzasadnione pretensje. Tak też było i między nami. Efektem tego był fakt, że nastąpiły dość znaczne „przemeldowanie” składu. Między innymi Januszek Romanek i ja cofnęliśmy się z ataku do obrony. Na niewiele się to zdało, ale wyżej tego meczu nie przegraliśmy. Pozostał wynik taki, jaki był do przerwy. Składu dokładnie sobie nie przypominam. Wykrystalizował się on dopiero w następnych meczach. Gorycz porażki pierwszego mistrzowskiego meczu odczuliśmy, ale musieliśmy ją przełknąć.

Następny mecz u siebie w Ćwiartkach graliśmy z Pilawą, był bez historii, wygraliśmy 3:2. Zapamiętałem stronniczego sędziego p.Gerlacha. Mieszkał w Pilawie. Od tego właśnie meczu zostaliśmy zasileni Janem Nowosielskim(Julusiem) i Ryszardem Rogowskim. Teraz mogę podać podstawowy skład, w którym graliśmy prawie cały sezon, oczywiście skład ten zmieniał się, ale już minimalnie. A więc od bramkarza do lewoskrzydłowego: Kazimierz Janczarski, Jan Romanek, Franciszek Frelek, Stanisław Nowosielski, Stanisław Sowiński, Tadeusz Żurawek, Zdzisław Bachański, Ryszard Rogowski, Jan Nowosielski(Juluś), Ryszard Cabajewski (Cabaj) i Jan Rogowski(Leonek). Jak z powyższego wynika z dawnej drużyny grali Zdzisiek Bachański, Januś Nowosielski i Rysiek Rogowski. Szczególnie „Juluś” bardzo nam się przydał. Był kapitanem drużyny, ustąpił mu tego zaszczytu Januszek Romanek jako starszemu koledze. „Julu”, jak przystało na kapitana, jeśli nie był najlepszym piłkarzem

to z całą pewnością do najlepszych należał.

Następny mecz mieliśmy rozegrać w Sobolewie. Zjechaliśmy się tam z różnych stron, ponieważ większość z nas mieszkała poza Parysowem. Chcąc jeszcze bardziej wzmocnić drużynę, przyjechałem do Sobolewa z kolegą ze szkoły Stanisławem Oleszczakiem(Olkiem).Wspaniały chłopak, przypadł do gustu wszystkim kolegom i grał z nami prawie cały sezon. „Olek” grał na stoperze, Januszek na prawej, a ja z konieczności na lewej obronie. Kazik Anczarski prawie cały czas również z konieczności w bramce. Mówiąc z konieczności mam na myśli nasze słabe warunki fizyczne. Kazik, choć bardzo dobry w bramce, był zbyt niski, ja zbyt filigranowy jak na obrońcę. Widocznie to wystarczyło, skoro graliśmy na tych pozycjach w najważniejszych meczach. Wyjątki były w mniej ważnych meczach, ale o tym napiszę w innym miejscu. Wracając do meczu w Sobolewie to przegraliśmy tam 4:5. Każdy, kto interesuje się piłką nożną, wie, że na boisku przeciwnika gra się „pod górkę”. Trudno jest wygrać, ale nie jest to niemożliwe. Za tą nikłą porażką 4:5, w rewanżu odbiliśmy sobie z tym samym przeciwnikiem z nawiązką. W Parysowie też z „Olkiem” wygraliśmy ...a więc pogrom! O „Olku” jeszcze wiele napiszę w dalszej części moich wspomnień.

Z Łaskarzewem na wyjeździe wygraliśmy 2:1. Pamiętam wspaniały rajd Janusza Romanka do przodu, z którego ktoś strzelił gola. W Parysowie z tym samym Łaskarzewem wygraliśmy. Również bardzo wysoko, ale nigdy nie udało nam się wygrać do zera. Przy wysokich wynikach korzystnych dla nas zawsze tą jedną bramkę traciliśmy. Nie była to wielka strata, ale była. Oczywiście wszystkie wysokie wyniki padały w Parysowie. Były też remisy i dwie porażki (tylko dwie na własnym boisku przez dwa lata). Do tego jeszcze wrócę, ponieważ nie opisałem do końca pierwszego roku rozgrywek.

W meczach ze Świdrem też poszło nam gładko. Na wyjeździe wygraliśmy 3:1. W Parysowie rozgromiliśmy ich. Z Wygodą rewanż u siebie wygraliśmy 3:1, natomiast rewanż z Pilawą na wyjeździe koledzy wygrali 10:5 beze mnie. O tym napiszę w innym miejscu. W tym pierwszym roku graliśmy jak już wspomniałem w klasie „D” bez porażki na własnym boisku. Nawet nie zremisowaliśmy. Przegraliśmy, jak wynika z powyższego, w Wygodzie 1:2, Sobolewie 4:5 i koniec. Reszta to nasza wygrana u siebie i na wyjazdach. Nie trudno wywnioskować, że zdobyliśmy mistrzostwo klasy „D” i awansowaliśmy o oczko wyżej do klasy „E”. Pomógł nam w znacznym stopniu mój kolega ze szkoły „Olek” grający na stoperze. Grał wspaniale, trudno było go przejść. Wielka szkoda, że choć chciał z nami grać, to jednak musiał pozostać z powodu wyjazdu z Warszawy po ukończonej szkole. Jego osoba jeszcze niejednokrotnie będzie wspomniana między innymi przy opisywaniu rozgrywek szkolnych. W klasie „E” już bez „Olka” szło nam trudniej, ale nie najgorzej.

Wracając do pierwszych meczów w klasie „D” chciałbym stwierdzić, że większość z nas grała w korkach kupionych za własne pieniądze. Pierwsze korki-nowe pomógł mi okazynie kupić Kazik za 70zł.Była to dobra „dniówka” na państwowej posiadzie. A jeśli dwóch miało po 10zł, to mogli napić się wódki. Część kolegów grała w trampkach również własnych. Organizując potańcówkę podczas ferii świątecznych, uzyskaliśmy

pewną sumę pieniędzy na bilety, (jeśli dobrze pamiętam ok.700 zł). I właśnie za te pieniądze kupiliśmy kostiumy biało-czerwone. Jeden komplet, a na getry pieniędzy nie wystarczyło, więc kupiliśmy za swoje. Nasze mamy prały nam te kostiumy, aby na każdy mecz były czyste i świeże. Takie były początki. W międzyczasie kupiono nam drugi komplet kostiumów i kilka par korków za pieniądze ze Zrzeszenia LZS w Garwolinie(tak to się chyba nazywało).Miało to swój epizod, z powodu, którego ja nie pojechałem z kolegami na mecz do Pilawy. Pamiętam, że kupiono korki dla połowy drużyny. Otrzymali je najlepsi piłkarze. Dla mnie zabrakło, obraziłem się i nie pojechałem na mecz do Pilawy. Prawdą jest, iż tłumaczono mi, że małych numerów nie było, ale ja w tych swoich wygranych i rozbitych nie bardzo mogłem grać. Bolały mnie stopy. Odczuwałem prawie każdy krok. Nie ukrywam, że odbiło się to szerokim echem- Franek nie pojechał na mecz! Kibice nie dali mi przejść chodnikiem tylko dopytywali się, dlaczego nie grałem. Naszymi opiekunami byli panowie Jan Rogowski (ojciec Ryśka), Waclaw Szelaąg i Tadeusz Frelek. Ten ostatni był stryjecznym bratem mojej mamy. Pamiętam go siedzącego pod swoim drzewem na schodkach. Na mój widok aż go coś poderwało i grzecznie ustawił mnie obok siebie.-Teraz mów, o co ci chodzi, dlaczego nie grałeś? Powiedziałem bez złości, ale z żalem, o co mi chodzi. Wysłuchał mnie uważnie. Na koniec rozmowy wypowiedział zdanie, które zapamiętałem:, „Co oni bez ciebie zrobią?” Trochę przesadził, ponieważ w Pilawie koledzy beze mnie wygrali 10:5. Tadeusz wypowiadając powyższe słowa znał wynik meczu, ale tak mu się powiedziało. Ktoś inny mógł powiedzieć zupełnie coś innego, np. „Bez ciebie też sobie poradzili”. Koledzy jak i opiekunowie nie mieli do mnie pretensji, przynajmniej mi tego nie mówili. Rozmawiałem na ten temat z innymi zagorzałymi kibicami, między innymi z moim wujkiem Bernardem Anczarskim, powtórzył mi moją rozmowę z Waclawem Szelaągiem (Czapnikiem).

„Co” Franek jest złym graczem, że pominęli go przy zakupie korków?”- pyta wujek „Franek jest bardzo dobrym graczem”- odparł „Czapnik” a za chwilę dodał: ”Mnie się wydaje, że Rysiek Rogowski rozpędzi tą drużynę”. Taka była mniej więcej treść rozmowy. Natomiast mnie osobiście wydawało się, że Rysiek nie miał ani takiego zamiaru, ani możliwości, aby rozpędzić drużynę. Nie on ją organizował, ale takie słowa padały. Ja nie miałem personalnie do nikogo pretensji. Miałem żal, ale trudno powiedzieć, do kogo. Rozpisałem się na ten temat, bo utkwilo mi to w pamięci nie, dlatego, że nie kupiono mi korków w tym czasie, co innym kolegom, ale dlatego, że na następny mecz kupiono mi cudowne, „wyczynówki”. Takich nie miał nikt. Dziś wolno mi się domyślać, że były dużo droższe, a z tańszych nie było mojego numeru. Nie było innego wyjścia, trzeba było kupić Frankowi te cudowne wyczynówki. Pamiętam, że otrzymałem je, ale nie pamiętam, od kogo, podczas treningu koło szkoły. Rzeczywiście były cudowne i odbijałem się w nich od murawy jak na sprężynach, ponieważ miały elastyczne wkładki. Myślę, że swoją grą spłaciłem dług wdzięczności wszystkim tym, którzy przyczynili się do sprawienia mi takiego prezentu jak również tym, którzy się po tym czasie o mnie upomnieli. Korki te odróżniały się od innych swoim biało-czarnym kolorem, a młodzi chłopcy wzdychali:, „ale koreczki”, przyglądając się, gdy zakładałem je na swoje nogi.

Kilka słów o opiekunach drużyny. Już wspomniałem, że byli nimi z własnej chęci panowie Jan Rogowski, Waclaw Szelaąg i Tadeusz Frelek. Dwaj pierwsi grali pierwsze skrzypce w Ochotniczej Straży Pożarnej i mieli samochód strażacki w swoim zasięgu, więc podwozili nim nas na mecze wyjazdowe. Ryzykowali, bo w razie pożaru, musieliby się, jak przypuszczam, mocno tłumaczyć. Na szczęście w tym czasie, gdy rozgrywaliśmy mecze wyjazdowe, pożarów nie było. Na niektóre mecze jeździliśmy pociągami, albo samochodami z Garwolina. Różnie z tym bywało. Było też trochę zabawnych historii z tymi wyjazdami, ale o tym napiszę później. Rozgrywki w klasie „D” w pierwszym tchu opisałem nie po kolei, ponieważ pamięć jest zawodna i łatwiej jest pisać o meczu i zaraz o rewanżu. Tak też będę wspominał rozgrywki w klasie „E”. Jeszcze wspomnę o kolegach, którzy nie grali z różnych względów przez cały sezon w klasie „D”, ale od czasu do czasu grali. Tak jest w każdej albo w prawie każdej drużynie. Byli to: Zenon Całka, Tadeusz Hubera, Leszek Pachła, Eliaz Borkowski, Tadeusz Kutwiński.

Wspomniałem o opiekunach, ale tak naprawdę bez fałszywej skromności chciałbym powiedzieć, że ton całej drużynie pod każdym względem nadawaliśmy w pięciu. Byli to Kazik Anczarski, Rysiek Cabajewski, Januszek Romanek, Janek Rogowski i ja. O tej piątce dziewczyny w Parysowie napisały balladę. Ale to już inna sprawa i o tych dziewczynach napiszę w innym miejscu. Po awansie do klasy „E” trzeba było pomyśleć o wzmocnieniu drużyny, a tu jak na złość ubył nam „Alek”, zawodnik, którego nie było łatwo zastąpić. Jak się później okazało nie ma rzeczy niemożliwych? Wycofaliśmy z ataku Janka Rogowskiego- „Leonka” na środek obrony, zamiast „Olka”. Nie bardzo chciał, ale musiał tak jak wcześniej Januszek Romanek i ja. Zgłosił chęć do gry Stanisław Badurek i Ryszard Wardak. Ten drugi mieszkał Trąbkach, był swego czasu naszym przeciwnikiem, ale jego drużyna rozleciała się. Chciał grać i wybrał naszą drużynę. Dziś dokładnie nie pamiętam jak to się stało. Faktem jest, że grał z nami do końca rozgrywek tak jak Stasio Badurek. Mieli wśród nas pewne miejsce. Przydałoby nam się jeszcze 2-3 zawodników, ale nie było skąd ich wziąć. Nie wspomniałem, że przez cały czas naszej przygody z piłką nie mieliśmy trenera. Trenowaliśmy sami.

W klasie „E” podstawowy skład tworzyli następujący koledzy, od bramkarza do lewoskrzydłowego: w bramce Kazimierz Janczarski, w obronie: Jan Romanek, Jan Rogowski i ja, w pomocy Stanisław Nowosielski i Tadeusz Żurawek; w ataku: Ryszard Wardak, Ryszard Rogowski, Jan Nowosielski, Ryszard Cabajewski i Stanisław Badurek. Od czasu do czasu grali i inni, teraz ich ujmę a potem o każdym z nich napiszę parę słów. Stefan Frelek-„Szpagat”, Stanisław Frelek- „Sionek”, Zdzisław Bachański, Stanisław Oskroba, Marian Anczarski i Zdzisław Nowosielski-„Saczek”. Trzej pierwsi grali obok Ryśka Rogowskiego i „Julusia” w drużynie naszych starszych kolegów. Trzej ostatni to wtedy juniorzy, ale od czasu do czasu jeden z nich grał. Powinienem wspomnieć jeszcze o jednej rzeczy, a raczej o jednym fakcie, który godny jest, aby to uczynić. Po awansie do klasy „E”, ale jeszcze przed rozpoczęciem rozgrywek pojechaliśmy bodajże do Wołomina. Tam mieścił się Okręgowy Związek Piłki Nożnej. Szczegółów nie pamiętam, ale zapamiętałem coś, co godne jest uwagi. Do Wołomina pojechaliśmy, jeśli dobrze pamiętam, w pięciu. A więc była to nasza

piątka „Cabaj”, Januszek, Kazik „Leonek” i ja. Urzędnik, z którym rozmawialiśmy zaproponował nam, abyśmy, jeśli chcemy, nadali drużynie nazwę. Zaskoczyło to nas trochę, ale pamiętam, że powiedziałem do kolegów następujące słowa: Może nadamy drużynie nazwę „PARTYZANT”. Koledzy przyklasnęli i od tej pory na afiszach, które wypisywał Januszek Romanek, używaliśmy tej nazwy. Dziś po tych latach zastanawiam się, skąd mi to przyszło do głowy. Może sentyment do Partyzantów, którzy w pierwszym roku rozgrywek byli naszymi zagorzałymi kibicami. Muszę dodać, że była to wiosna 1957 r. i słowo „Partyzant” nie było wtedy wcale modne. Jeszcze rządili spadkobiercy Stalina, a partyzanci wcale się nie chwalili tym, co robili w czasie okupacji.

Tak a nie inaczej nazwaliśmy drużynę i myślę, że zrobiliśmy partyzantom w Parysowie dużą przyjemność. Nikt nam tego nie mówił, ale prawie wszyscy partyzanci przychodzili na mecze i byli zagorzałymi kibicami tak jak w pierwszym roku rozgrywek. Dziś nie jestem w stanie powiedzieć, co nami pokierowało, że nadaliśmy drużynie nazwę „Partyzant”. Może nami pokierował fakt, że zasłużyli sobie na to swoim poświęceniem podczas okupacji i dotychczas nikt im za to nie podziękował. Wręcz przeciwnie, zesłano ich zaraz po wojnie w większości na Syberię. Na szczęście w tym czasie, gdy my graliśmy w piłkę, z małymi wyjątkami powrócili do domów. Mówiąc o partyzantach mam oczywiście na myśli AK-wców. Większość z nich już dziś nie żyje, ale kilku jeszcze spotykam. Wtedy, gdy graliśmy w piłkę. Mieliśmy 18-20 lat, a partyzanci po około 40 lat. Byli to mężczyźni w sile wieku, byli naszymi ojcami, wujkami, kuzynami, sąsiadami lub dobrymi znajomymi. Warto było dla nich grać, warto było grać w drużynie o nazwie „PARTYZANT”

Jak już wspomniałem, rozgrywki w klasie „E” będę opisywał nie po kolei. Dokładnie trudno byłoby mi opisać je po kolei, bo i pamięć zawodna, a opisując mecz i od razu rewanż będzie mi łatwiej oraz doda to, jak mi się wydaje, trochę pikanterii. Pierwszy mecz w klasie „E” rozegraliśmy z Wesołą. Były tam dwie drużyny, jedna cywilna a druga wojskowa. Właśnie z cywilami rozegraliśmy pierwszy mecz u siebie i wygraliśmy 3:2. Mecz bez historii. Na rewanż nie pojechaliśmy, ponieważ przeciwnik wycofał się z rozgrywek. O meczach z drużyną wojskową z Wesołej napiszę w innym miejscu.

DRAMATY ZE ŚRÓDBOROWEM

Te dwa mecze, które rozegraliśmy ze Śródborowem, pozostaną w mojej i zapewne nie tylko mojej pamięci do końca życia. Na własnym boisku nie mieliśmy zwyczaju przegrywać, ale jak się okazało w sporcie wszystko jest możliwe.

Pierwszy mecz rozegraliśmy w Parysowie. Wydawałoby się, że rozgrywamy mecz jak każdy i po jakimś czasie większość z nas zapewne myślała, iż przeciwnik jest w granicach naszych możliwości. Prowadzimy 1:0, a więc wydaje się, że przeciwnik jest na przysłowiowym widelcu. W tym meczu Kazik Anczarski, nasz etatowy bramkarz, zagrał w polu na lewej pomocy, tuż przede mną. On zawsze tak jak chciał grać w ataku, ale w tym jak i innych meczach nie chcieliśmy przemeldować składu. W bramce grał Stanisław Frelek „Siasiek”, dziś pan inżynier, z którym spotykam się, ponieważ

obydwaj mieszkamy w Józefowie. Stasio był dobrym bramkarzem, ale należy pamiętać, że: był od nas starszy 3 lub 4 lata i okres swojej świetności miał poza sobą. Jak wspominałem prowadzimy? 1:0. Przeciwnik atakuje z determinacją. Obaj z Kazikiem na lewej stronie defensywy dajemy koncert gry. Pamiętam, że obydwoj byliśmy w bardzo dobrej formie. Zazwyczaj na lewej pomocy grał Tadek Żurawek, ale w tym meczu przesunęliśmy go na prawą pomoc. Grał, więc na prawej stronie defensywy, z Januszkiem Romankiem. Szło im też bardzo dobrze. Pamiętam, że walka była nieprawdopodobna o każdy metr boiska i o każdą piłkę. Jestem po jednym z nieudanych ataków przeciwnika osaczony przez trzech zawodników w narożniku boiska. Posiadam piłkę, ale pole manewru mam niesłychanie ograniczone, Kazik znajduje się blisko mnie, ale podawać mu prawdopodobnie nie mogłem. Spróbowałem sam i pamiętam z tego tylko tyle, że po „wkręceniu” w ziemię trzech przeciwników po kolei słyszałem petardę śmiechu. Oswobodzony prowadzę piłkę do przodu i nagle wyrasta mi jak spod ziemi stoper przeciwnika Zbyszek Drozd, ogromne chłopisko. Wśród publiczności przeraźliwy pisk dziewczyn. Za sobą czuje oddech Kazika (bardzo słusznie i mądrze asekurował mnie) nie chcąc, więc ryzykować, podaję mu piłkę piętą do tyłu. Trzej przeciwnicy zostali daleko z tyłu, czwarty też nic nie wskórał, a Kazik wiedział, co zrobię z piłką. Popędził jeszcze bardziej do przodu i podał piłkę kolegom z ataku. Januszek z Tadkiem na prawej stronie, jak wspominałem, też dawali sobie radę. Niby dobrze nam idzie a jednak stało się coś nieprawdopodobnego. Po jednym z ataków przeciwnika, środkiem „Leonek” – ta zaporą nie do przebycia „obcina się” i jest 1:1. Miał to być „wypadek przy pracy”, zapewne większość z nas wtedy tak myślała. Stało się jednak inaczej, bo oto jeden z następnych ataków środkiem znowu na „Leonka” i jest 2:1 dla Śródborowa.

Kazik o „Leonku” mówił, że jest to zaporą nie do przebycia. Ja się z tym zawsze zgadzałem. Był wszechstronny, miał obydwie nogi, grał dobrze głową, dobrze wykonywał wślizgi. Nie chcę twierdzić autorytatywnie, ale był chyba jeszcze lepszy niż „Olek”. Był bardzo odważny, ale ze Śródborowem miał słabszy dzień. Dwa razy „obciąć” się w jednym meczu to coś nieprawdopodobnego. Z tych dwóch obciachów padły dwie bramki. Do końca meczu pozostało kilka minut, najwyżej dziesięć. Nacieramy z pasją, nie schodzimy z połowy boiska przeciwnika. Kibice myśleli zapewne, że wyrównamy lada moment, bo przyzwyczajeni byli do naszej wygranej. Przeciwnik cofnął się całą drużyną, by bronić korzystnego dla siebie wyniku. Muszę przyznać, że choć głupio przegraliśmy ten mecz to jednak nie z byle, kim. Nie wszyscy wiedzą, że drużyna ze Śródborowa jako jedyna wygrała z Wojskowym Klubem Wesoła. My po przegranym meczu- pierwszym mistrzowskim na własnym boisku, schodzimy z opuszczonymi głowami. Kibice pocieszają nas poklepując po ramionach. Na nie wiele to się zdało, do „Leonka” nie miał nikt, z tego, co pamiętam, pretensji. Po meczu odbyła się jak zwykle zabawa, a „Leonek” za złości rozplakał się i mówił, że przez niego przegraliśmy mecz. Wmówił w siebie tak jak kiedyś mój kolega Koreańczyk. Obiektywnie rzecz biorąc było trochę jego winy, ale nie cała wina. Na wynik meczu pracuje cała drużyna. A może było trochę winy sympatycznego Stasia w bramce?

REWANŻ ZE ŚRÓDBOROWEM

Po kilku tygodniach jedziemy na rewanż do Śródborowa. W międzyczasie rozgrywamy mecze z innymi drużynami (opiszę je wszystkie). A więc jedziemy do jaskini Iwa. Nie byli oni jak już wspomniałem słabi. Gdyby byli słabi, to w Parysowie mogliby nam strzelić dwie bramki tyle, co strzelili, ale my powinniśmy strzelić im pięć lub sześć. Tak się nie stało, bo oni wiedzieli jak się gra w piłkę.

Wracam do meczu rewanżowego. Wyjeżdżając do Śródborowa wszyscy mieliśmy w pamięci ten przegrany mecz na własnym boisku. Pamiętam, że jadąc do Śródborowa byliśmy wszyscy bardzo skupieni, mało rozmowni. Fizycznie do tego meczu – jak mi się wydaje, byliśmy bardzo dobrze przygotowani. Jeśli dobrze pamiętam to nawet kibice, nawet ci najbardziej nam oddani i którzy zmieścili się w ciężarówce, którą jechaliśmy na mecz, nie byli zbyt rozmowni. Dziś wydaje mi się, że wtedy każdy z piłkarzy i kibiców zadawał sobie pytanie jak to będzie w tym Śródborowie, co nam przyniesie ten dzień. Muszę stwierdzić, że przyniósł i to bardzo dużo.

Mecz rozpoczął się od środka boiska, jak każdy. Sędziował Zdzisiek Bachański, często grający z nami piłkarz. Moim zdaniem sędziował obiektywnie. My byliśmy zmobilizowani fizycznie i psychicznie do ostatnich granic. Nie mogliśmy przeboleć tego tak głupio przegranego meczu w Parysowie. Kolejności bramek, które padały dla nas i dla przeciwnika trudno do dziś pamiętać. Może, dlatego, że mecz toczony był w bardzo nerwowej atmosferze. Rewanż nam się udał, bo wygraliśmy 3:2. Graliśmy z ogromną determinacją. Przeciwnik grał brutalnie. Zapamiętałem końcówkę tego meczu. Prowadzimy 3:2, do końca jest, jak nas poinformował jeden z kibiców 5 minut. Cytuję dokładnie słowa pijanego kibica „Za pięć minut zakończy się mecz piłkarski, a zacznie się bokserki”. Nie była to wesoła dla nas informacja, zważywszy, że prawie wszyscy kibice naszych przeciwników byli pijani. Nasz wspaniały, już nieżyjący kolega, Tazio Żurawek został w brutalny sposób „skoszony” na kilka minut przed końcem meczu. Grał w tym meczu jak w większości innych na lewej pomocy, a więc w moim bezpośrednim sąsiedztwie. Dziś trudno w to uwierzyć, ale twardy chłopak grał przez około 10 ostatnich minut na jednej nodze ledwie podpierając się drugą. Padał, co chwilę, ale wytrwał do końca i od czasu do czasu mówił, że wystarczy mu jedna noga. Chciał nam pomóc i dlatego nie zszedł z boiska. Jakby tej grozy było mało, to jeden z zawodników drużyny przeciwnika wypowiedział następujące słowa „Skosić jeszcze tego lewego obrońcę”. Nie trudno było wywnioskować, że chodzi o mnie. Czyżby pamiętał, że na boisku w Parysowie ośmieszyłem go i jego dwóch kolegów? Ale ja zrobiłem to po sportowemu „wkręcając” ich trzech po kolei w ziemię. Ja dbałem o własne kości i nie grałem brutalnie, ale jeśli ktoś jest złośliwy, to nie jest łatwo ustrzec się od tej złośliwości. Znałem tego złośliwca z A10 z Międzylesia – pracowaliśmy w jednym zakładzie. Na hasło „skosić tego lewego obrońcę” odpowiedziałem słownie w sposób ostry, ale kontaktu z nim i jego kolegami unikałem. Starłem się ich wyprzedzać i pozbywałem się szybko piłki, ale nie na oślep. Na czym polegała ostrość mojej odpowiedzi? „Spróbuj to zrobić, to ja jutro pójde na montaż i w obecności twojego majstra strzelę cię w mordę.” Dziś trudno mi stwierdzić, czy

umiejętne ogrywanie przeciwników, czy moje słowa uchroniły mnie od skoszenia. Kilka słów, dlaczego ja mogłem sobie pozwolić na takie powiedzenie. Otóż bezpośredni przełożeni mojego przeciwnika, brygadzysta i mistrz, potrzebowali ode mnie łaski. Ten chłopak też o tym wiedział. Pracowałem wtedy w Międzyzlesiu w kontroli technicznej i nie zawsze musiałem „puścić” słabszej jakości detale a działu mechanicznego. Przychodzili, więc przełożeni mojego przeciwnika z montażu, aby coś tam przepuścić, bo zależało im na wykonaniu planu. Niejednokrotnie czyniłem to, oczywiście w granicach rozsądku. Dlatego mogłem sobie pozwolić na takie stwierdzenie, że dostanie w mordę ten pseudoewaniak, który krzyknął, aby mnie „skosić”. Żał mi było, że nie udało mi się obronić Tadka Żurawka. Nie przypuszczałem, że aż tak będą brutalni. My, mimo że przegraliśmy u siebie 1:2, pozwoliliśmy im zejść z boiska o własnych siłach Ina dwóch nogach. Wracając do hasła wypowiedzianego przez pijanego kibica o zbliżającym się meczu bokserskim, wiedziałem, że ten mecz a raczej pierwsze minuty po meczu nie zakończą się dla nas zbyt ciekawie. Nasi kibice też wiedzieli, co się święci. Powsiadali, więc wszyscy do samochodu blisko kabiny kierowcy, tak, aby zrobić dla nas miejsce z tyłu samochodu. Opuścili też przezornie plandekę, aby przed kamieniami uchronić siebie i ewentualnie tych z nas, którzy zdołali wskoczyć do ciężarowego samochodu po zakończonym meczu. Nareszcie-koniec meczu! Ja nie miałem zamiaru dziękować przeciwnikom za rozegranie meczu, a taki był i jest po dziś dzień zwyczaj. Nie było, za co takim łobuzom dziękować. Wycelowałem, więc wzrokiem w kierunku samochodu i zacząłem uciekać. Tak też zrobili moi koledzy, ale nie wszyscy w jedną stronę. Ja przebiegłem przez całą szerokość boiska w kierunku samochodu, słyszę, że ktoś krzyczy „nie bić bramkarza”, a więc Kazika. Dobrze i to. Na oglądanie się nie było czasu. Z opowiadania wiem, że jeden z pijanych kibiców biegł za mną z nożem. Obserwował to wszystko mój kolega kibic-Tadek Wysocki przez uchyloną lekko plandekę. Może dosięgnąłby mnie nożem jak po drabince wskakiwałem do ciężarówki, ale wtedy Tadek dosięgnął go pompką w łeb. Piszę w łeb, bo trudno używać w tym wypadku określenia głowa. Oprócz mnie schroniło się w samochodzie jeszcze trzech a najwyżej czterech kolegów, a reszta rozproszona po lesie przybiegła na Komisariat Milicji w Otwocku.

Pamiętam, że było to 3 października w imieniny Teresy Witkowskiej. Na imieniny byli zaproszeni wszyscy jej koledzy, a opóźnienie powrotu do Parysowa było bardzo duże. Teresa czekała razem z innymi koleżankami do późnego wieczora. Ja na imieninach mimo zaproszenia, nie byłem, pojechałem do Międzyzlesia, wtedy tam mieszkałem. Tadek Żurawek też na imieniny nie pojechał. On wyznaczył sobie inne zadanie. Dowiedziałem się o tym od niego po kilku dniach. Jeździł mianowicie po wszystkich zabawach w rejonie Otwocka z milicją i wygarniał łobuzów. To był cały Tadek, poświęcił imieniny, aby sprawiedliwości stało się zadość. On ich prawie wszystkich znał, mieszkał w Otwocku. Opowiadał mi, że zjawiając się z milicją, na jednej z zabaw został niewinnie zapytany: „Tadziu, po co przyjechałeś?” Odpowiedź była krótka i brzmiała: „po ciebie, brać go i tego też”. I tak po kolei, aż wygarnięto wszystkich, co trzeba. Była później rozprawa sądowa, ale moi koledzy nie byli mściwi, nie pojechaliśmy na rozprawę. Ktoś tam trochę powiedział, ale wszystko rozeszło się po kościach.

Wracając do meczu, to prawie wszyscy byli w mniejszym lub większym stopniu poturbowani. Narzekał „Leonek”, że miał posiniaczoną klatkę piersiową. Nikt nie został tak „skoszony” jak Tadek. Nasz sędzia, Zdzisiek Bachański zostawił w Śródborowie kawałek marynarki zawadzony nożem przez pijanego kibica.

DWA REMISOWE MECZE Z OTWOCKIEM

Nie wszystkie mecze zapamiętałem w jednakowym stopniu. Myślę, że moi koledzy również. Czasem trudno jest przypomnieć sobie wynik meczu i skład grupy, w której graliśmy. Graliśmy mecze mistrzowskie przez dwa lata. Pierwszy rok i inni przeciwnicy, drugi rok to awans i też inni przeciwnicy. Z Otwockiem mecz u siebie rozegraliśmy bez historii. Pamiętam, że padł wynik 2:2. Prowadziliśmy 2:0 i przeciwnik zdołał wyrównać. Rewanż w Otwocku utkwiał mi bardziej w pamięci, nie, dlatego, że był brutalny tak jak w Śródborowie. Odbył się w sposób kulturalny tak jak mecz w Parysowie. Dlaczego rewanż w Otwocku utkwiał mi bardziej w pamięci? Była to dobra drużyna, szło nam ciężko-przegrywamy 0:1. W pewnym momencie podbiega do mnie „Juluś” i mówi: „idź do przodu”, a sam został na mojej pozycji-lewej obronie. Nie wiem, co mu się stało, bo zrobił to tylko raz, właśnie w Otwocku. Zrozumiałem, że mam zająć jego pozycję na środku ataku. Tak też się stało. Widocznie rozruszałem atak, bo po kilku minutach padło wyrównanie, jest 1:1. Nie pamiętam, kto strzelił bramkę, ale na pewno nie ja. Po wyrównaniu znowu ten sam „Juluś” podbiega do mnie i mówi: „cofnij się”. Zamieniliśmy się, zajmując swoje pozycje. Prawdą jest, że „Juluś” był kapitanem drużyny i grał bardzo dobrze. Strzelał najwięcej bramek, ale w tym wypadku popełnił błąd. Jak mu nie szło, to mógł mnie zostawić w ataku do końca meczu. Może byśmy wygrali. Do końca meczu wynik nie uległ zmianie i mecz zakończył się remisem 1:1. A więc dwa remisy z Otwockiem, 2:2 u siebie i 1:1 na wyjeździe. „Juluś”, jak wspominałem, choć grał naprawdę dobrze, to jednak nie ustrzegł się i drugiego błędu, o którym napiszę przy okazji meczów z wojskową drużyną z Wesołej. Ten błąd dotyczył incydentu z Januszkiem Romankiem.

MECZE Z GARWOLINEM

Na kilka godzin przed meczem byłem niejednokrotnie pytany (myślę, że moi koledzy również) jak dzisiaj będzie, wygracie? Odpowiedź moja była zawsze jednakowa: „Nie wiem”. Mówiłem to szczerze, bo skąd mogłem wiedzieć. To jest sport, a ci kibice, którzy zadawali takie pytanie byli pewni, że zrobimy wszystko, aby meczu nie przegrać. Oni też starali się, aby nam pomóc. Przypominam sobie zabawną historię. Nie wiem, jaka drużyna wtedy przyjechała, ale z całą pewnością nie Garwolin. Piłkarze z Garwolina przyjechali samochodem, a ci, o których chcę napisać pociągiem.

Może był to Świder lub Józefów w pierwszym roku rozgrywek. Nie jest to w tej chwili ważne. Pociąg, do Parysowa przyjeżdżał ok. godz. 9.00. Do meczu było kilka godzin,

więc nasi przeciwnicy poszli do knajpy, aby coś zjeść. Nasi kibice natomiast wdali się z nimi w rozmowę i okazując „wielką” gościnność, poczęstowali ich wódką i piwem. Nie trzeba dowodzić, że jedno i drugie obiera oddech.

O tej pomocy kibiców dowiedziałem się tuż przed meczem. Za tą gościnę nasi przeciwnicy zapłacili wysoką przegraną.

Teraz o meczach z Garwolinem. Nie pamiętam, w jakiej kolejności te mecze były rozgrywane. Gdzie był mecz a gdzie rewanż? Tak czy inaczej rozpocznę od meczu w Garwolinie. Wygraliśmy 3:2. Z tego meczu pamiętam dwa wydarzenia, jedno nieprzyjemne, a drugie bardzo przyjemne. Przypominam sobie szarżującego po prawym skrzydle przeciwnika, ja miałem go kryć. Nie przeczę, że wziąłem go trochę na biodro, ale wydawało mi się w sposób dozwolony, bo sędzia nie zareagował przerwaniem akcji. Efektem tego był fakt, że zawodnik ten wylądował na ziemi. Strasznie się zdenerwował i chciał mnie skosić. Nic mu z tego nie wyszło, ponieważ starałem się być szybszy od niego, ale mimo wszystko musiałem bardzo uważać. Tylko dwa razy, na szczęście bezskutecznie, polowano na moje kości, w Śródborowie i Garwolinie. Drugie wydarzenie w Garwolinie było dla mnie o wiele przyjemniejsze. Byłem zwrócony do naszej bramki przodem nagle piłka znalazła się w moim zasięgu. W sporcie liczy się bardzo jak wiadomo czas i szybkość. Ja tego czasu wtedy nie miałem tym bardziej, że byłem blisko własnej bramki. Wykonałem, więc „nożyce”, albo, jak kto woli „przewrotkę”. Za to właśnie w Garwolinie, a więc od kibiców naszych przeciwników, otrzymałem brawa. Poznali się na tym. Sprawilo mi to niezłomną radość. To jest wszystko, co pamiętam z meczu w Garwolinie. Wrócę jeszcze na chwilę do „nożyc”. Bez fałszywej skromności powiem, że te nożyce w naszej drużynie robiłem tylko ja. W drużynach naszych przeciwników też tego nie widziałem. Nie to jest najważniejsze. Przypomniała mi się zabawna historia. Otóż kolegą z naszej drużyny, któremu nie podobały się moje „nożyce” był „Leonek” i wyraźnie mi to mówił po takim zagranii. Ja się wcale tym nie przejmowałem, ponieważ uważałem, że każdy ma prawo mieć swój styl gry, aby był tylko skuteczny. Zabawność tego wszystkiego polegała na tym, że po takich „nożycach” w jednym meczu w Parysowie ten sam „Leonek”, nie wytrzymał i podbiegając do mnie podał mi rękę gratulując. Pamiętam dokładnie jego uścisk dłoni i słowa: „teraz dobrze to zrobiłeś”. Ja wiedziałem, co jemu się nie podobało. Uważał, i być może słusznie, że nie zawsze takie zagranie było konieczne. Często tego nie robiłem, 2-3 razy w jednym meczu. Nie ukrywam, że robiłem to trochę „pod publiczność”, ale przeważnie musiałem tak zagrywać, ponieważ wymagała tego sytuacja. Nie będę się więcej na ten temat rozpisywał. Dodam tylko tyle, że jest to zaskakujące zagranie dla przeciwnika, a na odwracanie się w odpowiednim kierunku nie zawsze jest czas. Zresztą ci, co się znają na piłce, to wiedzą, o co chodzi. Tak czy inaczej zadaniem Januszka „Leonka” i moim było to, aby nie dopuścić przeciwnika do strzału i nie narazić Kazika na kontuzję. Dlatego też dwaj z naszej trójki braliśmy niejednokrotnie przeciwnika w tzw. „kleszcze”, aby Kazik mógł bezpiecznie dla siebie wejść w posiadanie piłki. Pozycja bramkowa jest najbardziej niebezpieczna. Kazik swoje braki we wzroście nadrabiał dużą szybkością i kocią zwinnością. Niejednokrotnie jednak rzucał się pod nogi szarżującego napastnika drużyny przeciwnej. Zawsze słusznie nas za to ochrzaniał, że dopuszczamy do takich

sytuacji. Takie sytuacje stwarzał przeciwnik, a my nie zawsze mogliśmy temu zapobiec, ponieważ nasi rywale też umieli grać w piłkę.

MECZ Z GARWOLINEM U SIEBIE

Można powiedzieć, że nie jest ważne, jaka drużyna przyjeżdża, ale skąd przyjeżdża. Mobilizacja przed tym meczem musiała być duża, ponieważ mamy grać z Garwolinem. Mecz sędziował Marian Jończyk z Garwolina. Znał naszych przeciwników jak również i nas. Wydarzyła się wtedy bardzo zabawna historia, o której za chwilę napiszę. Mecz rozpoczął się jak każdy inny. Pamiętam dokładnie, że do przerwy prowadzimy 5:0. Coś nieprawdopodobnego, z Garwolinem taki wynik do przerwy. Kibice szaleli, ale tylko do przerwy. Marian sędziował obiektywnie, ale tylko do przerwy. W drugiej połowie nie strzelamy żadnej bramki, a przeciwnik jedną. Jest, więc 5:1 dla „PARTYZANTA”, mimo że my gorzej nie graliśmy niż przed przerwą. Nam to wystarczyło, cieszyliśmy się z takiego wyniku, a kibice nie. Mieli pretensje nie do nas tylko do sędziego, i słusznie. Dziś trudno w to uwierzyć, ale sędzia, nasz kolega i kolega naszych przeciwników, musiał tak sędziować. Okazało się, że przyjechał z nimi jednym samochodem. Podczas przerwy nasi przeciwnicy zagrozili sędziemu, że będzie wracał do Garwolina na piechotę, jeśli nie będzie ich „dwunastym zawodnikiem”. Ten sędzia Marian podszedł do nas po zakończonym meczu, mówiąc „Chłopaki, przepraszam was, musiałem tak sędziować”. Ciekawe, że żaden z moich kolegów nie miał do niego pretensji. Może, dlatego przyjęliśmy to spokojnie, ponieważ znaliśmy sędziego i mecz wygraliśmy wysoko. Garwolin został przecież rozgromiony 5:1! Mogliśmy rzecz jasna wygrać wyżej-przy innym sędziowaniu po przerwie. Wspomniałem o niezadowoleniu kibiców. Oni nie byli, bo nie mogli być zadowoleni z takiego sędziowania po przerwie. Pamiętam dokładnie, że ojciec Tadeusz Żurawek wystartował do sędziego wypowiadając słowa: „Ty kaloszu”. Nie wiem jak by to się skończyło, gdyby nie moja interwencja. Tego „kalosza”(fajnego w sumie chłopaka) ja obroniłem, mówiąc: panie Żurawek, niech pan się uspokoi. Mecz jest wygrany wysoko. Nie wiem skąd ja wzięłem tyle wewnętrznych sił, aby uspokoić i przekonać ojca naszego kolegi. Jeśli jestem przy sędziach, to nie sposób nie wspomnieć o innym incydencie. Mecz mamy wygrany, nie pamiętam, z jakim przeciwnikiem i w jakim stosunku bramkowym (było to w pierwszym roku rozgrywek). Znowu podchodzi, a raczej podbiega Janek Frelek s. Ludwika i chce zaatakować sędziego. Ten miał wymowną pięść. Ja tego sędziego nie znałem, sędzia jak wielu innych. Sędziował moim zdaniem obiektywnie. Ja jestem w bezpośrednim sąsiedztwie tego incydentu. Wpadłem bez pardonu między sędziego i Janka, wypowiadając głosem nieznoszącym sprzeciwu następujące słowa „Nie dotkniesz go”. Ci, co znali Janka, to wiedzą, że nie było łatwo go uspokoić. Janek mnie lubił, ja jego też i być może, dlatego się uspokoiła chwilę podchodzi do mnie sędzia, podaje mi rękę i mówi „Dziękuję panu za obronę”. Nie pamiętam, co ja na to odpowiedziałem. Chyba tylko się uśmiechnąłem. Zapamiętałem ten fakt do dziś. Po moich słowach „nie dotkniesz go”, Janek spojrzał na mnie a ja na niego. Obydwaj mieliśmy wyostroszony wzrok. Jaki ja byłem pewny swego. Ta moja szczupła sylwetka coś jednak znaczyła. Ja nawet przez moment nie

pomyślałem (Janek zapewne też), abyśmy mogli się z tego powodu pogniewać. Moje agresywne słowa zrobiły swoje. Nie mogę przestać na tym, co napisałem na temat Janka Frelka s. Ludwika. Był w partyzantce podczas okupacji. Jeśli nie był najodważniejszym AK-wcem, to z całą pewnością do najodważniejszych należał.

Po latach spotykaliśmy się przy stole niejednokrotnie przy kieliszku, był przecież bratem mojego wujka Rafała, też swego czasu zagorzałego kibica. Ja ogromnie lubiłem słuchać o wyczynach partyzantów w Parysowie podczas okupacji. Dziś mogę powiedzieć szczerze, iż jestem niezmiernie zadowolony, a nawet dumny z tego, że w tamtych latach pięćdziesiątych nadaliśmy drużynie nazwę „PARTYZANT”. Graliśmy między innymi dla partyzantów i choć teraz zdajemy sobie z tego bardziej sprawę niż dawniej, to w żaden sposób faktu tego nie da się pominąć. Jak już wspomniałem warto było grać w „PARTYZANCIE” i dla partyzantów? Z tego, co pamiętam, to na nasze mecze przychodzili następujący partyzanci AK-wcy: Jan Frelek s. Ludwika, Marian Bieńko, Jan Tarnowski, Marian Frelek, Mieczysław Foryś, Wacław Oskroba i Tadeusz Szelaąg. Być może nie wszystkich wymieniłem- przepraszam, jeśli kogoś pominąłem.

Na mecze przychodzili prawie wszyscy, też prawie wszyscy żyjący rodzice moich kolegów. Moja mama nie przychodziła. Była raz może dwa. Bardzo przeżywała moje występy na boisku. Kiedyś powiedziała „Jak nie będziesz grał, to na mecze będę przychodziła”. Gdy przechodziłem próg naszego domu, to pierwszymi słowami, jakie do mnie wypowiadała było „wygraliście?”. Poza dwoma wyjątkami odpowiedź brzmiała „tak”. Wielu było chętnych, aby się z nami zabrać na mecze wyjazdowe. Nie wszystkich mogliśmy zabrać do jednego samochodu. Z meczów zawsze wracaliśmy ze śpiewem na ustach. Była następująca umowa z kibicami, którzy oczekiwali w Parysowie na wynik meczu wyjazdowego: , jeśli wygramy-śpiewamy piosenkę „Morze, nasze może”; jeśli przegramy-śpiewamy piosenkę „Niech żyje sport, sport żyje nam”. W taki sposób z jadącego samochodu informowaliśmy kibiców o wygranym lub przegranym meczu. Mnie niejednokrotnie ponosiła młodzieńcza fantazja i na „szoferówce” jadącego samochodu robiłem „mostek”. Czterech kolegów trzymało mnie za dwie ręce i obydwie nogi, abym nie spadł na zakręcie.

DWA MECZE Z KARCZEWEM

Pierwsza minuta-strzelają nam bramkę i przegrywamy 0:1. Było to 8 maja, tę datę pamiętam, bo nasza koleżanka Stasia Borkowska urządziła imieniny. Po kieliszku koledzy wypili, ci dwaj partnerzy z obrony i bramkarz. Ja na tych imieninach nie byłem. Po tak szybko straconej bramce, myślałem, że te imieniny wychodzą bokiem. Zdenerwowany powiedziałem do kolegów następujące zdanie „Ja was nauczę pić wódki przed meczem”. Był to jedyny przypadek. Później pomyślałem, że jeden kieliszek w tak młodych organizmach spustoszenia nie powinien zrobić, ale zdenerwowany tak nieelegancko odezwałem się do kolegów.

Pamiętam, że po tej bramce w pierwszej minucie i po moich słowach rozpoczął się koncert gry. Ta nasza sportowa złość zrobiła swoje (koledzy też się zdenerwowali, ale

żaden nie wypowiedział słowa). Do przerwy jest jednak w dalszym ciągu 0;1- tak jak w pierwszej minucie. Po przerwie pada jednak wyrównanie. Jest 1:1 i znowu walka o każdą piłkę i o każdy metr boiska. Po jakimś czasie ktoś z kolegów strzela i jest 2:1 dla nas. Kibice szaleją, bo wiedzą, że mamy do czynienia z bardzo silną drużyną. Jest korner, większość z nich wybijałem ja, ale tylko z lewego rogu. Etatowo powinien robić to Stasio Badurek jako lewoskrzydłowy. Był to jednak bardzo koleżeński chłopak i nie miał zwyczaju nikomu przeszkadzać. Ale właśnie w tym meczu z Karczewem Stasio jest blisko piłki i widzę, że ustawia ją w narożniku boiska, ja wycofuję się do obrony i nie przeszkadzam koledze. Stasio bierze rozbieg i ku naszej radości strzela trzecią bramkę bezpośrednio z kornera. Rzadki to przypadek nawet w najwyższej klasie meczach. Jest 3:1 dla nas a rozentuzjasmowani kibice rzucają do góry wszystko, co mają w rękach. Dużo na temat Stasia Badurka napisałem, ale zrobiło to na mnie ogromne wrażenie. Stasio wart jest tego, aby za jego nieprawdopodobny wyczyn poświęcić mu tyle słów. W tym dniu były jego imieniny, zrobił sobie ładny prezent. Jeśli jestem przy bramkach, to wspomnę, że najczęściej strzelał ich „Juluś”. Miał do tego predyspozycje i mimo swojej wagi-ponad 90kg, grał bardzo kulturalnie. Był na tyle dobry, że nie musiał falować i robił z piłką, co trzeba.

REWANŻ W KARCZEWIE

Zabieramy ze sobą Stasia Frelka „Siaśka”- bramkarza. Był wtedy w wojsku, ale przyjechał na ten mecz. Znowu Kazik gra w polu na lewej pomocy, a Tadek Żurawek przeszedł na prawą pomoc. Idzie nam ciężko, bardzo ciężko-przegrywamy. Ja z Kazikiem grałem na lewej stronie defensywy i wiadomo, że mamy kontrolować określoną strefę boiska. Pamiętam, że jeśli miałem piłkę, to najczęściej zagrywałem do Kazika, a on do mnie, ale z tego nic nie wynikało. Nie możemy w żaden sposób podejść do środka boiska, odbierać piłki zbyt szybko sobie nie pozwalamy, ale co podamy do przodu, to ona wraca jak bumerang i tak prawie cały czas. Jak grali inni koledzy-nie pamiętam, pamiętam tylko to, że z Kazikiem, z którym rozumieliśmy się, niczego nie możemy wskórać. Przeciwnik po prostu nam na niezbyt wiele pozwalał. Przegrywamy 1:5 i pod pretekstem nieobiektywnego sędziego, schodzimy z boiska, a wynik meczu jest zweryfikowany jako walkower 0:3 lub taki, jaki rzeczywiście padł. Tego nie pamiętam. Dziś uważam, że nie mieliśmy racji schodząc z boiska w Karczewie. Wystawili jeszcze silniejszą drużynę niż ta, z którą w Parysowie wygraliśmy 3:1. Oni też pamiętali tą porażkę- 1:3, mimo że do przerwy prowadzili z nami 1:0. Taki jest sport. Jak z tego wynika, nieźle się z nami do tego meczu przygotowali? Co innego jest stronnictwo sędziego, a co innego fakt, że przeciwnik nie daje pograć, bo jest bardzo mocny? Być może 3-4 razy sędzia nas oszukał, ale przy wyrównanych drużynach fakty takie nie muszą mieć aż tak wielkiego znaczenia. Tak czy inaczej, w moim odczuciu racji nie mieliśmy i tak też postąpił O.Z.P.N. weryfikując mecz jako przegrany.

Jak wynika z moich wspomnień, byliśmy na wozie, ale bywaliśmy i pod wozem? Taki jest sport. Co by się nie chciało napisać, to ten sport był dla nas pasją. Nasi

przeciwnicy niejednokrotnie mówili, że czego, jak czego, ale najbardziej zazdroszczą nam kibiców, a szczególnie tych piszczących z przerażeniem dziewczyn i cieszących się jak atakujemy i wygrywamy. Nie tylko, dlatego warto było grać w Parysowie. Gdyby mnie ktoś zapytał czy nie żałuję, że grałem dla ludzi, którzy nas wszystkich znali, to odpowiedź jest tylko jedna- nie żałuję. Mimo, że nasze drogi rozeszły się, to jednak, gdy się spotykamy, to mamy, o czym porozmawiać.

DWA MECZE PRZEGRANE Z WESOŁĄ

Pierwszy mecz rozegraliśmy na boisku przeciwnika. Była to drużyna wojskowa i po wypowiedzianych imionach: Ernest, Erwin, Gerard nie trudno było zorientować się, że gramy z chłopakami ze Śląska. Byli od nas około dwóch lat starsi. Moi koledzy mieli dopiero iść do wojska. Zapewne byli to w większości III-ligowcy, ponieważ grali wspaniale.

Kazik po latach powiedział mi, że dowódca lub trener zagroził, „Jeśli nie zrobicie dwucyfrowki, to powadam wszystkich do mamra” Wychodzili, więc ze skóry, żeby nie siedzieć w „mamrze”. My też staraliśmy się, ale przegraliśmy 1:13. Pogrom!- nigdy w życiu nie brałem udziału w tak wysoko przegranym meczu. Stefan Frelek - „Szpagat” zadeklarował swój udział w tym meczu. Zagrał z nami na lewym skrzydle, ale nie wiele to dało. Choć dawniej był wspaniałym piłkarzem, to teraz grał raczej przeciętnie. Jeden z kolegów powiedział, że Stefan grał jak panienka. Rzeczywiście lata przerwy robią swoje. Stefan i tak utrzymywał długo dobrą formę, ale jak już wspomniałem lata robią swoje. Zatrzymam się na chwilę przy osobie Stefana (obiecałem, że o każdym ze starszych kolegów, którzy grali z nami w piłkę, parę zdań napiszę). Stefan grał wspaniale w drużynie naszych starszych kolegów. Był i jest starszy od nas o około 5 lat. Darzył mnie sympatią być może, dlatego, że nasi dziadkowie byli braćmi. Myśmy się po prostu lubili. Kiedyś, jeszcze w pierwszym roku rozgrywek, rozgrywamy mecz towarzyski z budowlańcami a raczej wiertaczami, którzy pracowali koło Garwolina. Było to po festynie, o czym napiszę w innym miejscu. Mecz towarzyski- to można sobie na to czy owo pozwolić. Stefan koniecznie chciał zagrać ze mną w ataku. Zwykle grywał na lewym skrzydle. Pamiętam, że podszedł do mnie i powiedział- „Franek zagramy obydwaj na lewej stronie ataku”. Dobrze- odpowiedziałem, ale wybieraj- na skrzydle czy na łączniku, bo mnie jest wszystko jedno. Zagram na skrzydle- powiedział. Wśród kibiców dało się odczuć poruszenie i usłyszeć zdanie: „Stefan gra z Frankiem na lewej stronie ataku! Idziemy na drugą stronę to popatrzymy”. Stefan do dziś jest legendą parysowskiego sportu, a wtedy kibice mieli w pamięci jego zagrania z przed 5 lat. Muszę stwierdzić, że Stefan mieścił się swobodnie w naszym składzie, ale już nie te lata. Jest rzeczą zrozumiałą, że był znacznie wolniejszy niż dawniej. Szkoda, że Stefan, jego brat Zdzisiek, Zdzisiek Zabiegałowski oraz Franek Nikita nie urodzili się o 5 lat później. Wtedy gralibyśmy razem. Nasza drużyna wymagała retuszu.

Akurat nam tych kilku brakowało. Oni wszyscy okres swojej świetności mieli poza sobą. O Stefanie wspomniałem, a inni przestali w ogóle grać. Wyjątkiem był Zdzisie

Zabiegałowski, grał w III-ligowej drużynie w Myśliborzu. Ten miał przedłużoną karierę. Spotkałem go parę miesięcy temu w Otwocku i jego brata Wieśka (też się dobrze zapowiadał i grał z nami 1 lub 2 razy na początku mecze towarzyskie). Trafił się też „Leonek”. Poszli w trójkę na „wzmocnioną” kawę do Stasia Oskroby, ja nie poszedłem, ponieważ przyjechałem do Otwocka samochodem. Trochę żałuję, bo ze Zdziśkiem powinienem porozmawiać. W biegu. Zdzisiek powiedział mi, że grając w drużynie naszych starszych kolegów na pięć bramek on strzelił cztery. Tak rzeczywiście było. Pamiętam, że obok Zdziśka Zabiegałowskiego Stefan Frelek ośmieszał swoich przeciwników. Mnie udało się to tylko raz. Jak przechodziłem trzeciego przeciwnika, to usłyszałem petardę śmiechu? O tym wspominałem, gdy opisywałem mecz w Parysowie ze Śródborowem.

REWANŻ Z WESOŁĄ W PARYSOWIE

Ten mecz nam wyraźnie nie wyszedł. Obiektywnie muszę stwierdzić, że oni byli poza naszym zasięgiem. Tego rewanżu nie musieliśmy przegrać aż tak wysoko- 1:8. Były, co najmniej dwie przyczyny tak wysokiej przegranej, jeśli nie więcej. Ja naderwałem ścięgno i byłem przez to rzecz jasna mniej pożyteczny niż zwykle. Boisko było się, ale czy to raz człowiek grał na mokrym boisku? Drugą przyczyną przegrania meczu tak wysoko było to, iż „Juluś” usunął z boiska Januszka Romanka, mając nie wiadomo o codo niego pretensje. Januszek rwał się do walki i być może poszedł zbyt odważnie do przodu, pozostawiając lukę na prawej obronie. Nie był to jednak powód do takiego potraktowania kolegi. „Juluś” był od nas o dwa lub trzy lata starszy i był jak już wspominałem kapitanem drużyny. Zawsze uważałem, że ten incydent był nikomu nie potrzebny. Nerwy zrobiły swoje a Januszek ujął się honorem i zszedł z boiska. Gdyby nie usłuchał kapitana to pewnie na tym by się skończyło. Na zdanie „zejdź z boiska” zareagował tak jak napisałem. Był to drugi błąd „Julusia”. O pierwszym napisałem przy okazji meczu z Otwockiem i dotyczył mnie. Dziś uważam, że wszyscy zrobiliśmy błąd, „Juluś” zbyt nerwowo zareagował. Januszek nie musiał słuchać kapitana, a my powinniśmy wziąć w obronę naszego kolegę. Był to jedyny niepotrzebny zgrzyt. Nikt w tym meczu nie zagrał cudownie, „Juluś” też skoro przegraliśmy 1:8. O wygraniu nie mogło być mowy, ale gdyby nie moja kontuzja i gra w pełnym składzie, to przegrana byłaby niższa. Jeśli mowa o kontuzjach to mnie się przytrafiło tylko raz, ale grałem do końca, tylko już nie tak jak powinienem. Drobnych urazów nabawili się też inni koledzy, ale poważnym kontuzjom ulegli tylko dwaj koledzy. W pierwszym roku Stasiek Sowiński, był to raczej przypadek, a w drugim roku został brutalnie „skoszony” Tadek Żurawek w Śródborowie. Ten mecz opisałem wcześniej.

PRZYGODA Z KOLEGAMI W SZKOLE

Jeśli chodzi o mecze w „PARTYZANCIE” Parysów, to opisywałem wszystkie, lecz nie każdy szczegółowo. Starłem się zrobić to obiektywnie jak tylko mogłem i umialem.

Było trochę wydarzeń związanych z meczami Parysowie. Część opisałem i jeszcze do tego wrócę.

Teraz napiszę o moich kolegach ze szkoły. Jak wspomniałem w pierwszym roku rozgrywek przyjeżdżałem na mecze do Parysowa ze swoim kolegą ze szkoły „Olkiem”. Koledzy ze szkoły wiedzieli, że gramy obydwaj w Parysowie. Nie wiedzieli, że ja gram na lewej obronie-celowo z „Olkiem” zatailiśmy to. W szkole grałem na lewym skrzydle. Na lekcje wychowania fizycznego udawaliśmy się do Agrykoli, bo nie mieliśmy własnego boiska. Na śródmieściu prawie żadna szkoła nie miała boiska. Odwiedzał mnie niejednokrotnie „Leonek”, więc chodził razem z nami. Na boisku w parku Agrykoli widzimy przygotowanych do meczu naszych rówieśników z Technikum Budowlanego przy ul. Górnośląskiej. Oni strzelają na jedną bramkę a my na drugą. Pewnie sobie dziś nie pogramy-powiedział jeden z kolegów. Szykuje się jakiś mecz. Oni mieli profesora-starszego, łysego zupełnie 3, ……pana. W pewnym momencie podchodzi do nas bardzo kulturalny łysy pan i proponuje nam rozegranie towarzyskiego meczu. Wspomniał, że reprezentacja pewnej szkoły nawaliła, a czas trzeba czymś wypełnić. Chętnie się na to zgodziliśmy. My byliśmy reprezentacją klasy zasiloną przypadkowo „Leonkiem” a oni reprezentują szkoły. Wiedzieliśmy o tym, ale wyboru nie było. Mogliśmy grać lub nie.

Rozpoczyna się mecz. Ja „Leonkowi” odstąpiłem „swoje” lewe skrzydło, a sam grałem na innej pozycji, nie pamiętam, na jakiej, ale z całą pewnością na lewej stronie. Trochę z tego meczu zapamiętałem. Byliśmy równorzędnymi przeciwnikami dla naszych rówieśników z w/w szkoły. „Leonek” grał bardzo dobrze. Pamiętam jak huknął z woleja w poprzeczkę, myśleliśmy, że poprzeczka spadnie. Myślę, a nawet jestem tego pewien, że nie powstydziliśmy się „Leonkiem” w Warszawie tak jak „Olkiem” w Parysowie. Wynik brzmiał 1:1! Sędziował nam bardzo obiektywnie ich profesor, czarujący starszy pan. Po meczu podszedł do nas i pyta: Chłopcy a wy jesteście reprezentacją, jakiej szkoły? Wybuchła petarda młodzieńczego śmiechu. Po chwili wyjaśniamy to zbyt długo, nie wypadało się śmiać. My jesteśmy reprezentacją klasy Technikum Mechanicznego Nr 1 z ulicy Śniadeckich, zasilani jesteśmy tylko tym kolegą i wskazaliśmy na „Leonka”. Strasznie kręcił głową, nie chciał uwierzyć, ale w końcu uwierzył. Pogratulował nam, uśmiechnął się i poszedł. Rzeczywiście moi koledzy z klasy grali wspaniale. Zdobyliśmy mistrzostwo szkoły, ale już bez „Leonka”. Nikt z naszych szkolnych przeciwników na to by się nie zgodził. Znaliśmy się przecież wszyscy. Nasz profesor wychowania fizycznego znał możliwości piłkarskie poszczególnych klas i tak ustawił kalendarz rozgrywek o mistrzostwo szkoły, aby dwie teoretycznie najlepsze drużyny mogły spotkać się w finale. Graliśmy systemem pucharowym i rzeczywiście finał był taki, jaki przewidział profesor. My gromiliśmy wszystkich po kolei, a oni też. Nasi przeciwnicy w finale to klasa jednej z rozwiązanych szkół warszawskich. Nieźle musieli narozrabiać, jeśli rozwiązali szkołę. Całą klasę przenieśli do naszej szkoły. Nie ukrywam, że była to klasa łobuziaków. Za kilka minut ma się rozpocząć mecz. „Olek” już wtedy grał z nami w Parysowie. Umówiliśmy się wcześniej z „Olkiem”, że zagramy obydwaj w obronie. Kolegom prawie do końca nic o tym nie mówimy. Mieliśmy swój skład jak każda klasa, a ja grałem na lewym skrzydle, mając za partnera fajnego. chłopaka Tadzia Dolinę, który

grał na lewym łączniku. Czasem zamieniliśmy się pozycjami z Tadkiem. Kapitanem drużyny był „Olek” i rządził nami. Z „Olkiem” umówiliśmy się, że zagramy w korkach, a jak przeciwnicy będą protestowali, to mieliśmy przygotowane trampki. Pozostali koledzy korków nie mieli. Zawsze graliśmy w trampkach, ponieważ w szkole nie wolno było grać w korkach, ale zaryzykowaliśmy. Jeszcze chwilę i „Olek” ustala skład a tu takie zaskoczenie. „Frącik” (tak mnie w szkole nazywano) na lewej obronie? „Olek” czy ty zgłupiałeś? W takim meczu?- powiedział jeden z kolegów. Jego miejsce jest na lewym skrzydle. Poświęciłem się wtedy dla dobra drużyny tak jak w Parysowie obok Januszka a później „Leonka”. Koledzy nie wyobrażali sobie mojej filigranowej sylwetki w obronie. Jak wspominałem z „Olkiem” umówiliśmy się, że nie będziemy mówili kolegom, iż ja gram w Parysowie w obronie. I teraz też nie mówiliśmy nic na ten temat. Jeszcze chwila dyskusji, którą przecina „Olek” mówiąc następujące słowa: „Tak, z „Frąckiem” wcześniej ustaliliśmy i koniec dyskusji”. Ja nie wiele się odzywałem tylko uśmiechnąłem się z boku.

Ustawiamy się na boisku „Olek” mówi do mnie: „Frącik”, gramy tak jak w Parysowie”. Dobrze, tylko się nie przejmuj-odpowiedziałem. Zrozumiałem, że mamy grać zdecydowanie, ale jeśli trzeba będzie to i ostro, ale nie brutalnie. Różnica polegała na tym, że w Parysowie graliśmy trójką obrońców (Januszek, Olek i ja) a tu w tym meczu „Olek” i ja, a więc dwójką obrońców. Tu było trzech pomocników, a w Parysowie dwóch. Wspomnę jeszcze, że my rozebraliśmy się, a niektórzy z naszych przeciwników udawali „fetniaków” i grali w spodniach, jeden nawet w gabardinowych. Pamiętam, że z „Olkiem” wchodziliśmy ostro, ale nie brutalnie. Graliśmy przecież w korkach. Dziwiliśmy się, że pozwolili nam grać w korkach. Widocznie byli pewni swego. Słabi nie byli-to prawda, ale przegrali wysoko 1:5 lub coś koło tego, dokładnie nie pamiętam. Pamiętam natomiast, że w walce o piłkę zawadziłem niechcący przydartym korkiem a więc gwoździem chłopaka i rozerwałem mu te gabardinowe spodnie od góry do dołu. Rwał się do bicia, ale nic z tego nie wyszło, bo w mojej klasie chłopcy byli dobrzy nie tylko w piłkę, jeśli było trzeba. Więcej szczegółów nie pamiętam, bo czas zrobił swoje. Koniec meczu- jesteśmy wielbicielami szkoły! Koledzy zamiast „Olka” -tego etatowego obrońcy (on grał tylko w obronie) podbiegli do mnie z gratulacjami. Powalili mnie z radości na ziemię. Gdy już wszyscy ochłonęliśmy (mecz był bardzo nerwowy), to któryś z kolegów zapytał. „Frącik”, co się z tobą stało? Ty w obronie rozegrałeś taki mecz?” Znowu uśmiechnąłem się tak jak przed meczem i powiedziałem „Olek, powiedz im, w czym rzecz”. Słuchajcie-mówi-„Olek” my obaj i jeszcze jeden (Januszek) gramy w Parysowie na obronie. „Ach ty diable i nic o tym nie mówiliście? A czy się ktoś o to pytał?”. Zawodu kolegom nie sprawiłem, a tak się obawiali. Nie dziwiłem się, bo przecież nie wszystko wiedzieli. My dużo rozmawialiśmy na temat „Olka” wyjazdów do Parysowa, ale jakoś udało nam się utrzymać w tajemnicy, na jakiej pozycji gram. Nikt nie miał wątpliwości, że ja gram w ataku, a jednak? Dlaczego szczególnie mnie zależało na tym, żeby się nie wydało, na jakiej pozycji ja gram w Parysowie? Dlatego, że ja wolałem grać w ataku i „Olek” to szanował. Pamiętam, że odbył się mecz pod koniec szkoły między naszym Technikum i inną szkołą średnią, nie pamiętam, jaką. Żaden z nas nie grał, bo uważaliśmy, że jeśli jesteśmy mistrzami szkoły, to reprezentacja powinna być oparta na naszej klasie.

Nie pamiętam, dlaczego tak się stało, ale obok w/w faktu pewnie i to, że my już byliśmy na praktyce, a więc jedną nogą poza szkołą. Jak wspomniałem, z „Olkiem” opowiadaliśmy o meczach w Parysowie. Ktoś podsunął jakiś pomysł, aby rozegrać mecz między Parysowem a naszą klasą. Wszystkim się to podobało, szkoda, że do tego nie doszło. Byłoby to wspaniałe spotkanie pod każdym względem. „Olek” zawsze mówił, że fajnie się gra w Parysowie, a jeszcze lepiej tańczy z tamtymi dziewczynami. Na przeszkodzie stanął brak czasu. My rozgrywaliśmy mecze mistrzowskie w Parysowie, a podczas przerwy w rozgrywkach koledzy ze szkoły byli na wakacjach i tak już zostało. Ktoś może zadać mi pytanie: Kto by wygrał? To jest trudne pytanie i dobrze, że pozostanie bez odpowiedzi. Uważam, że moi jedni i drudzy koledzy byli wspaniali. A już najwspaniałej byłoby, gdybyśmy w latach pięćdziesiątych z dwóch jednostek utworzyli jedną. Oj miałem kilku kolegów w klasie, którzy przydaliby się nam w Parysowie. Pomarzyć można-dobre i to.

TROCHĘ O KOLEGACH JEDNYCH I DRUGICH

Ktoś może zapytać, czy ktoś z nas mógłby grać poza Parysowem w innej, może silniejszej drużynie. Oczywiście, że tak, ale na stałe tego nikt nie chciał. Jeśli w naszej drużynie grali koledzy z poza Parysowa, to niby, dlaczego ktoś z nas miałby grać gdzie indziej. Przecież tam grało się najlepiej. Niejednokrotnie piłkarze z drużyn naszych przeciwników mówili nam, że najbardziej zazdroszczą nam publiczności i tych naszych koleżanek, które stwarzają taką wspaniałą atmosferę. Tak nas dopingują i cieszą się, jeśli nam dobrze idzie. Pamiętam, że Stasio Oskroba namówił mnie, abym poszedł z nim i moim ciotecznym bratem Marianem Anczarskim na trening do Stali Kasprzak w Warszawie. Dałem się namówić i wziąłem udział w treningu, po którym trener tej drużyny wstawił mnie do szkoły na „lewe” nazwisko. Dał mi do ręki lewe zgłoszenie chłopaka, który był blondynem i miał kręcone włosy. Przeszła ta kombinacja i rozegrałem mecz w ataku na lewym skrzydle. Na ten mecz wybrał się mój partner ze szkoły, wspomniany wcześniej Tadzio Dolina. Sam nie grał. Usiadł na trybunach i obserwował. Po meczu podszedł do mnie i powiedział mi kilka komplementów. Trener zapytał czy może liczyć na mnie w następnych meczach. Coś mu tam odpowiedziałem, ale więcej nie poszedłem. Moje miejsce było w innej drużynie- w „PARTYZANCIE” Parysów. Mecz, o którym wspomniałem odbył się w tygodniu i nie kolidowało to z meczem w Parysowie. Inaczej być nie mogło. Nie wiedziałem, że za kilka lat będę pracował w Zakładach Kasprzaka, które opiekowały się tą drużyną. Mieli dobry sprzęt, trenera i wiele innych rzeczy.

Pozwolę sobie napisać parę słów na temat mojego partnera szkolnego Tadzia Doliny (graliśmy jak już wspomniałem na lewej stronie ataku). Był fajnym kolegą, bardzo spokojny, ale niezwykle przekorny. Po ukończonej szkole spotkałem go przypadkowo w Warszawie. Był wtedy w wojsku. Drużyna w Parysowie rozleciała się, koledzy też poszli do wojska. Otóż ten spokojny i przekorny Tadzio grał w drużynie wojskowej i opowiadał mi, że często podpadał. Podpadał, bo nie lubił tego politycznego ogłupienia w wojsku i często wędrował do aresztu. Jest niedziela, a więc i mecz, wtedy Tadzia

wypuszczali. Tadzio grał i strzelał bramki, a po meczu znowu do „pudła”. I tak kilka razy. Jak wspomniałem, Tadzio był przekornym, choć niezwykle skromnym chłopakiem. Tadzio opowiadał mi dalej-siedzę i znowu mecz w niedzielę. Chcą mnie wypuścić, a ja mówię, że nie, jest mi tu dobrze. Wyjść mogę, ale grać nie będę i nie grałem. Od tamtej pory nie wsadzają mnie do „pudła”, więc gram dalej. Był to rzeczywiście cały Tadzio-uparty i konsekwentny. Nie widziałem go już ponad 30 lat. Moi niektórzy koledzy z Parysowa też mogli grać w innych drużynach, ale nie wszyscy chcieli. Najlepszym dowodem jest to, że Kazik i „Leonek”(nasza drużyna już się rozleciała) grali w „ZWARZE” Międzylesie. Otrzymali za to niezłą pracę. Ja już nie chciałem grać nigdzie. Inni koledzy byli w wojsku i też już później nigdzie nie grali. W tym czasie, gdy graliśmy w Parysowie, to prawie po każdym meczu była zabawa- o tym wspominałem. Kibice też przychodzili na te zabawy. Przyjemnie było jak ktoś z kibiców podszedł do orkiestry i zarządził białe tango tylko dla piłkarzy. Było tak, co najmniej raz na każdej zabawie. Nikt nikogo nie pilnował, ale też nikt nie śmiał wejść na „dechy” poza tymi, dla których to tango było grane. W taki sposób kibice nam dziękowali za to, co robimy na boisku. „Olkowi”, Ryškowi Wardakowi i Stasiowi Badurkowi bardzo podobał się ten zwyczaj. Nie dziwię się, że chcieli grać w Parysowie, aby później zostać zaproszonym do białego tanga i potańczyć z naszymi koleżankami. Oprócz zabaw na „dechach” były też i zabawne historie związane z piłką.

Otóż mecze w Parysowie graliśmy, co drugi tydzień i co drugi tydzień wyjeżdżaliśmy na mecze do naszych przeciwników. Pamiętam, że na kilka godzin przed meczem na boisku w Parysowie nie ma bramek. Jakiś „uczynny” człowiek je nam wyrąbał. Co robić? Trzeba było jechać do lasu, przywieść okrągłaki i mimo niedzieli robić nowe bramki. Od tego czasu bramki rozbieraliśmy i zabieraliśmy je ze sobą. Innym razem, tak przeżywaliśmy mecz wyjazdowy, że zapomnieliśmy zabrać do Otwocka Kazika. Zajeżdżamy na miejsce, a Kazika nie ma. Kto będzie bronił? Byli też i uczynni ludzie, bo oto Kazika przywozi motorem do Otwocka Estek Borkowski. Odetchnęliśmy z ulgą. O tym meczu pisałem, wynik brzmiał 1:1.

Następna historia z kierowcą. Jak wspomniałem, od czasu do czasu przysyłano nam samochód z Garwolina, aby pojechać nim na mecz wyjazdowy. W drodze kierowca zaczął wykonywać nieskoordynowane ruchy. Okazało się, że jest na „bani”. Nie chcemy z nim jechać. Jest awantura i z połowy drogi wracamy do Garwolina, a później do Parysowa, po drodze zawadzając o komisariat. Na mecz nie pojechaliśmy. Odbył się w innym terminie.

Następna zabawna historia. Gramy na samym początku naszej przygody z piłką mecz towarzyski z Pilawą na Targowicy. Wtedy meczów mistrzowskich jeszcze nie rozgrywaliśmy. Ktoś nam po wygranej meczu 3:2 dyskretnie powiedział, że graliśmy w dwunastu. Przeciwnicy tego nie zauważyli, a dyskretni kibice, którzy umieli dobrze liczyć, też nic nie mówili. Uważali zapewne, iż wystarczy jak nam o tym powiedzą po meczu. W naszej drużynie chciało grać wielu chłopaków, ale nie każdy mógł. Zabawne, bo chęć do gry w „PARTYZANCIE” Parysów zgłosił ksiądz wikary. Do tego nie doszło, bo pewnie proboszcz wybił wikaremu z głowy sportowe zachcianki. Trzeba

pamiętać, że były to lata pięćdziesiąte. Dziś policja rozgrywa mecze z księżmi i nikt się temu nie dziwi. Są inni czasy.

Na jednym z meczów w Parysowie tracimy bramkę. Nic to wielkiego, bo jak się bramki strzela, to nie sposób ich od czasu do czasu nie trafić. Na naszych bramkach nie mieliśmy siatek, a niektórzy kibice stali tuż za bramką Kazika. Pamiętam, że piłka toczyła się do bramki. Wtedy dwóch kibiców jednocześnie startuje do niej i jeden wybija piłkę w pole. Sędzia słusznie bramkę uznaje, a kibice zza bramki za nią nie chcą się pogodzić z decyzją sędziego. Uważają, że bramka nie padła i nie jest ważne, kto piłkę wybił z linii bramkowej. Czy to nie jest humorystyczne? Ktoś z kolegów wytłumaczył kibicom, że nie mają racji i dopiero wtedy się uspokoili.

Następna śmiesznośćka-rozgrywamy mecz w ćwiartkach bezpośrednim sąsiedztwie boiska było pole, na którym rosły kartofle. Od czasu do czasu piłka wpadała w te kartofle. Właściciel pola próbował wymierzyć nam sprawiedliwość, stanął w kartoflach (wolno mu było) i czekał aż piłka wpadnie ponownie w kartofle. Doczekał się, złapał piłkę i nie chciał nam jej oddać. Nie wiedział biedak, co czyni. Wystartowało do niego kilku kibiców, ten rzucił piłkę, nogi za pas i do domu. Już go więcej w tych kartoflach nie widzieliśmy. Oj było trochę tych zabawnych historii, oj było.

KILKA ZDAŃ O MOICH KOLEGACH Z PARYSOWA

Nikt nie może mi mieć za złe, że rozpocznę od nieodżałowanego, nieżyjącego już Tacka Żurawka. Zmarł w Bydgoszczy w latach osiemdziesiątych. Jaki to był oryginał ten nasz kolega Tadzio. Pisałem, że grał przeważnie na lewej pomocy. Bardzo się starał, aby mieć stałe miejsce w drużynie. Miał to miejsce pewne przez cały czas naszej i mojej przygody z piłką. Jak niejednokrotnie wspominałem, ja grałem na lewej obronie? Mieliśmy, więc obaj kontrolować określoną strefę boiska, tak samo jak Januszek Romanek ze Stasiem Nowosielskim. Różnica polegała na tym, że Januszek i Stasio grali po prawej stronie. Zadanie natomiast było identyczne. Nie ukrywam, że lubiłem grać z Tackiem dlatego, że bezgranicznie ufaliśmy sobie. Podczas gry on nie mówił prawie nic, a ja wypowiadałem przeważnie dwa krótkie zdania: „Idź do niego” lub „Zostaw go”. Jeśli powiedziałem, a raczej krzyknąłem (żeby mnie słyszał) „idź do niego”, to Tadzio poszedł i były dwie możliwości. Albo Tadek odebrał rywalowi piłkę, albo obydwaj mieli. Jeśli odebrał piłkę, to robił z nią, co uważał. Jeśli natomiast obydwaj leżeli, to piłka była chwilowo bezpieczna. Ja będąc zwykle blisko akcji, dopadałem piłki i też robiłem z nią, co trzeba. Jeśli krzyknąłem „zostaw go”, to wiadomo było, że Tadek czeka z boku na wynik akcji. Było tak bardzo często. Gdyby Tadek żył, to jestem pewien, że potwierdziłby, iż nigdy nie narażałem go na fizyczne urazy ani ośmieszenie. Zawsze w najtrudniejszych sytuacjach mówiłem „zostaw go”. Odpowiedzialność za powodzenie lub niepowodzenie ataku przeciwnika brałem na siebie. Tak samo odpowiedzialnym na prawej strony defensywy był Januszek Romanek. „Leonek” kontrolował bezpośrednio przedpole bramkowe.

Przypomniała mi się zabawna historia. Jak już wspominałem kilka razy z Januszkiem grał Tadek na prawej stronie, a ja między innymi z Kazikiem. Tadek po meczu

podszedł do mnie i powiedział mi w cztery oczy: „Franek, zrób coś, abym ja grał na lewej pomocy (przeważnie grał na lewej pomocy, ale były wyjątki), bo Januszek na mnie krzyczy. Uśmiechnąłem się do niego i powiedziałem „nie przejmuj się”. Na tym rozmowa się skończyła. Januszek był wymagający nie więcej niż ja, ale Tadek, choć praworozny, przyzwyczajony był na lewej stronie. Przypuszczam, że tu tkwiła przyczyna jego niechęci do gry na prawej stronie. Zresztą ja nie miałem aż tyle do powiedzenia, abym sam przemeblowywał skład drużyny. Każdy grał tam gdzie powinien w danym meczu grać. Ja też niechętnie grałem na lewej obronie, ale musiałem prawie przez cały czas dwuletnich rozgrywek. Żeby postawić kropkę nad „i”, to powiem żebyśmy z Januszkiem zamienili się pozycjami to też zapewne nie czulibyśmy się zbyt dobrze. Nawyki i przyzwyczajenia robią swoje. O Januszku Romanku wspomnę później. Teraz Stasio Oskroba, jedna z trzech naszych wschodzących gwiazd obok Mariana Anczarskiego i Zdziśka Nowosielskiego. Grał z nami ze dwa lub trzy razy jak ten wchodzący do drużyny. Był juniorem, a mimo to strzelił bramkę. Ja w mistrzowskich meczach przez dwa lata nie strzeliłem żadnej. Utkwiła mi ta bramka Stasia w pamięci, a dlatego to zaraz napiszę. Muszę stwierdzić, że każdy z nas był dobry pod względem kondycyjnym. Ja to wykorzystywałem po przerwie, gdy siły przeciwnika były nadszarpnięte. Decydowałem się niejednokrotnie przejść z piłką prawie przez całe boisko, z obrony w obręb pola karnego przeciwnika. Ile razy to zrobiłem (przeważnie w Parysowie)? Trudno powiedzieć. Zapamiętałem trzy takie rajdy. Pierwszy, gdy po rajdzie mam już strzelać, odebrano mi piłkę. Za drugim razem strzeliłem w gąszcz nóg przeciwników, a za trzecim razem zamarkowałem silny strzał z lewej nogi i znowu kilku mnie blokuje. Wtedy świadomie rzuciłem kątem oka w lewo. Tam stał nieobstawiony Stasio Oskroba. Musiał być nieobstawiony, jeśli mnie blokowało kilku. Wtedy właśnie podałem mu leciutko piłkę. Tylko dotknął i strzelił bramkę. Zapamiętałem ten szczegół z dwóch powodów. Po pierwsze, dlatego, że w sposób sportowy oszukałem przeciwników, a po drugie, że juniorek Stasio strzelił bramkę.

Rysiek Cabajewski-„Cabaj”. Mało o nim pisałem. Ci, którzy pamiętają lata pięćdziesiąte, to mogą potwierdzić, że „Cabaj” zawsze kojarzył się z „Leonkiem” i odwrotnie. Byli dobrymi kolegami i zapowiadali się na jednakowo dobrych piłkarzy. Szli ze sobą pod każdym względem łeb w łeb. Niestety „Cabaj” w moim odczuciu zahamował się w rozwoju. To nie znaczy, że grał źle. Tak powiedzieć nie można, bo to byłoby dla niego krzywdzące. Grał dobrze (na lewym łączniku) i zdobył najpiękniejszą i najefektywniejszą bramkę podczas całych naszych rozgrywek. Ta, o której pisałem, a zdobył ją Stasio Badurek bezpośrednio z kornera, też była piękna. Pamiętam, że „Cabaj” strzelił zaskakująco z około 20m. Piłka odbiła się od wewnętrznej strony poprzeczki i wpadła do bramki. Tak samo strzelił „Leonek” w warszawskim parku Agrykoli, o czym pisałem wcześniej. Była to taka różnica, że „Leonek” bramki nie strzelił, ale trafił w poprzeczkę i piłka poszła w pole. Jeśli jestem przy efektywnych bramkach, to chciałbym wspomnieć o „szczupaku”, po którym „Juluś” w jakimś meczu strzelił bramkę. To było też bardzo efektowne. Były to trzy najpiękniejsze bramki, jakie zapamiętałem. „Julusia” za ten wyczyn ucałowałem, pamiętam jego spocony policzek. Rysiek Wardak z Trąbek grał wspaniale, ale tak się

złożyło, że grał on na prawym skrzydle. Dzielili nas, więc przekątna boiska, a więc największa odległość. Nie mogłem go dokładnie obserwować. Nie zapamiętałem ani jednego jego zagrania tylko, dlatego, że graliśmy w przeciwległych strefach boiska.

Kiedyś Marian Anczarski powiedział, że przez dwa lata rozgrywek podobały mu się trzy zagrania. Jedno u Ryśka Wardaka i dwa u mnie. Surowy cenzor z tego Mariana. Sam też grał w naszej drużynie na lewej pomocy. Nie pamiętam, z kim wtedy graliśmy mecz. Zapamiętałem tylko, że jego ojciec, a mój wujek, wiedział, że Marian będzie grał. Bardzo to przeżywał, chyba bardziej niż Marian. Powiedział wtedy do mnie następujące słowa: „Słuchaj Franek, jeśli macie kogoś lepszego to niech Marian nie gra, żeby nikt nie miał pretensji”. Wiem, że przyjąłem to spokojnie i powiedziałem, że będzie grał na lewej pomocy, a więc w moim bezpośrednim sąsiedztwie. Marian zagrał. Nikt do niego nie miał pretensji, a mecz i tak wygraliśmy. Był on wtedy, jak już wspomniałem, juniorem. Trzeci junior to Zdzisiek Nowosielski, też dobrze wtedy zapowiadający się piłkarz. Grał później w drużynie swoich rówieśników. Niestety w międzyczasie ginie tragicznie.

Rysiek Rogowski-rówieśnik „Julusia”, grał w drużynie naszych starszych kolegów. Był wysoki i grał dobrze głową.

Stasio Nowosielski-poprawny, ale zbyt grzeczny i nie przepadał, aby koniecznie grać. W składzie się zwykle mieścił, grał na prawej pomocy, ale grywał i w ataku.

Januszek Romanek grał na prawej obronie, o czym niejednokrotnie wspominałem. Nie pamiętam żeby przegrał, choć jeden pojedynek biegowy, mimo że niejednokrotnie wydawałoby się, iż stoi na straconej pozycji mając dalej do piłki niż przeciwnik. Januszkowi i nie tylko jemu w piłce bardzo pomagała szybkość. Był przecież mistrzem powiatu garwolińskiego na 100m i 900m. O tym napiszę w innym miejscu. Zawsze był dobrze przygotowany do meczu i nigdy nie schodził później swojego poziomu. Grał bardzo równo.

Znowu muszę opisać zabawną historię. Czynię to z wielką przyjemnością. Otóż oczekujemy na przeciwników, nie przyjeżdżają. Publiczność przyszła, to coś trzeba zrobić. Gramy z drugą drużyną, czyli naszymi rezerwami. Nie chcemy ich rozgromić, więc zarządziliśmy, aby obrona i pomoc pierwszej drużyny z atakiem drugiej drużyny, czyli rezerw tworzyła jeden zespół i odwrotnie. A więc Januszek, „Leonek”, ja, Tadek Żurawek i Stasio Nowosielski mamy grać przeciwko własnemu atakowi, czyli Ryśkowi Wardakowi, Ryśkowi Rogowskiemu, „Julusiowi”, „Cabajowi” i Stasiowi Badurkowi. Kibice byli przyzwyczajeni do bramek, ale tu zagrały sprawy sportowe i ambicjonalne. „Juluś” –ten as atutowy i pozostali mają strzelić bramkę, ale Januszek „Leonek” i ja mamy im w tym skutecznie przeszkodzić. Śmiać mi się chciało, bo kibice krzyczeli do nas obrońców „dajcie im strzelić bramkę”. Tak jakby Parysów grał przeciwko niewiedomo, komu. Obrońcy też byli z Parysowa. Wynik był remisowy 0:0 i jak z tego wynika, przyjemności kibicom nie zrobiliśmy. Januszek powiedział po mecz, że nie na darmo nosimy przydomek „betonowej obrony”, powiedział do mnie również coś innego i to było zabawne. Może, dlatego utkwilo mi w pamięci: „Franek, widziałeś jak Cabaj w pewnym momencie zdjął buty i grał na boso? Ja to widziałem, ale myślałem, że Cabaja uwierają korki”. Januszek mówi dalej- „Cabaj myślał, że ja będę grał ulgowo”. Wtedy rzeczywiście Januszek krył „Cabaja” i ten nie mógł sobie za nic poradzić z

Januszkciem. Być może, dlatego nie wytrzymał nerwowo i zdjął korki, aby grać na bosaka. Januszek nie pozwolił się sprowokować i nie poszedł w ślady „Cabaja”, bo niby, dlaczego miał też zdjąć korki. Była, więc okazja, aby egzaminować kolegów z ataku. Kazik Anczarski to jeden z najlepszych piłkarzy, jacy pojawili się w Parysowie w pierwszym piętnastoleciu powojennym. Mógł grać obok „Julusia” na każdej pozycji od bramkarza do lewoskrzydłowego. Miał obydwie nogi. Był niski, a mimo to w bramce był doskonały. Lubiałem grać w jego bezpośrednim sąsiedztwie, obojętnie, na jakiej pozycji, bo był bardzo szybki i miał ciąg na bramkę. Miał silny strzał z obydwu nóg. Jak wspominałem i jeszcze będę wspominał (przy innej okazji) graliśmy obok siebie niejednokrotnie?

PIŁKA I LEKKOATLETYKA

Cofnę się jeszcze do pierwszego sezonu rozgrywek. O naszym dobrym przygotowaniu kondycyjnym pisałem, a teraz faktami spróbuję to potwierdzić.

Jest festyn w Garwolinie, przysyłają samochód. Trzeba jechać, bo nie wypada. Nie chcieliśmy też zrobić zawodu Marianowi Jończykowi, z którym byliśmy zaprzyjaźnieni. Działał on wtedy w powiatowych władzach sportowych. To właśnie ten „sędzia kalosz”, o którym pisałem przy meczu z Garwolinem w Parysowie(5:1). Lekkoatletyki nikt z nas nie uprawiał, ale biegi, pływanie, siatkówka, ćwiczenia na drążku były dla nas sportami uzupełniającymi. Ale jeśli trzeba, to można spróbować. Kilku z nas bierze udział w konkurencjach biegowych. Januszek Romanek na 100 i 400m był pierwszy. Ja na 400 trzeci lub czwarty, ale na przeciwległej prostej przyblokowałem przeciwników i pomogłem koledze wygrać. Jeden ze zdenerwowanych rywali chciał mi podstawić nogę, ale nic z tego nie wyszło. Kibice z Parysowa widzieli to moje taktyczne zachowanie, bo mi o tym mówili. Kazik na 1500m był pierwszy i otrzymał nagrodę zegarek. „Leonek” był, jeśli dobrze pamiętam, drugi. Za jakiś czas są lekkoatletyczne mistrzostwa powiatu w Garwolinie. Mamy tam rozegrać swój mistrzowski mecz. Marian Jończyk znowu liczy na chłopaków z Parysowa. Znowu trzeba biegać. Januszek jest mistrzem powiatu na 100 i 800m. Ja jestem pierwszy na 1500m, „Leonek” jest drugi, a Kazik zszedł z bieżni, coś mu się stało. Na szczęście nic groźnego. Jeszcze kilku kolegów bierze udział w tych mistrzostwach. Janek Frelek- „Bocian” jest pierwszy na 400m, Zbyszek Janczarski- „Doktor” też jest w czołówce. W skoku w dal „Julus” jest pierwszy lub drugi-tego nie pamiętam. Nie wszyscy grali jednak w piłkę, mogli, więc sobie pozwolić na wysiłek-taki wysiłek.

Przede mną, Januszkciem, Kazikiem i „Leonkiem” jest do rozegrania mecz. Zaczynamy-jest to, jeśli dobrze pamiętam, ostatni mecz w klasie „D” nie pamiętam, z kim wtedy graliśmy. Sędziuje nam Marian Jończyk i mówi przed meczem: „Bez względu na wynik meczu, Parysów awansuje do klasy „E”, bo ma wystarczającą przewagę punktową”. Tu nie chodziło tylko o to, my nie lubimy przegrywać. Przyjechali z nami przecież nasi kibice. Do przerwy wyniku nie pamiętam, ale chyba nie przygrywamy. Podczas przerwy siedzimy na trybunie, wśród naszych kibiców. Nogi mamy z waty, prawie wszyscy o tym mówimy. Ja krzyczę: „Chłopaki, nie wychodzimy

na boisko, robimy sobie nie 10 a 20 minut przerwy”. Tak też się stało. Mecz a całą pewnością wygraliśmy 3:1 lub 3:2, dokładnie nie pamiętam. A więc mieliśmy kondycję? Po wystarczających biegach jeszcze rozegrać mecz i to w bardzo krótkim odstępie czasu. Myślę, że to dodatkowe 10 minut przerwy nas uratowało. Wspominając mecze naszych starszych kolegów, na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych pisałem, że w Parysowie nie było radia ze względu na brak elektryfikacji. Wtedy, gdy my graliśmy było tak samo, z tym jednym wyjątkiem, że były tzw. „Kołchoźniki”. Właśnie przez te „Kołchoźniki” pozostali kibice w Parysowie dowiedzieli się, że wśród piłkarzy i nie tylko piłkarzy, są mistrzowie powiatu w lekkoatletyce, a Januszek nawet dwukrotnym mistrzem na 100 i 800m. Po tym wszystkim pojechaliśmy z Januszkiem (chyba tylko my dwaj) na mistrzostwa Mazowsza do Wołomina, ale wróciliśmy bez sukcesów. Tam była silniejsza konkurencja, a my nie uprawialiśmy biegów, tylko graliśmy w piłkę. Tak czy inaczej, Marian Jończyk pewnie odfajkował sobie w sprawozdaniu to, co trzeba, on wtedy z tego żył, obok Budachowskiego –też fajnego chłopaka. W swoich wspomnieniach piszę najwięcej o sobie, trudno się dziwić, przecież jest to „moja przygoda z piłką”.... Nie zapominam też o kolegach, tych ze szkoły i z Parysowa. Nie pominąłem żadnego szczegółu, który dotyczył moich kolegów i był godny uwagi. Czy mogę o sobie napisać więcej? Oczywiście, że mogę, jeszcze tego pamiętnika nie skończyłem. O kolegach też nie zapomnę. Nie robię im w ten sposób łaski, ponieważ w piłce nożnej w pojedynkę żaden z nas niczego by nie dokonał. Na sukces pracował cały zespół. Wspomnę jeszcze o „Cabaju”, ale muszę to powiązać z pewnymi faktami. Zasłużył na to jak wszyscy koledzy. Teraz pozwolę sobie na pewną, nazwijmy to, zabawę. Spróbuję zestawić dwie drużyny z zawodników, którzy grali przed nami i tych, z którymi ja grałem.

JAN NOWOSIELSKI
„JULUŚ”

STANISŁAW OLESZCZUK
„OLEK”

JAN ROGOWSKI
„LEONEK”

ZDZISŁAW FRELEK
„SZPAGAT”

JAN ROMANEK

FRANCISZEK FRELEK

RYSZARD WARDAK
„SZPAGAT”

ZDZISŁAW ZABIEGAŁOWSKI

STEFAN

FRELEK

FRANCISZEK NIKITA

KAZIMIERZ ANCZARSKI

STANISŁAW BADUREK

KAROL PONCELEUSZ

ZDZISŁAW BACHAŃSKI

RYSZARD CABAJEWSKI
„CABAJ”

RYSZARD ROGOWSKI

TADEUSZ ŻURAWEK

WACŁAW PACEK

WŁADYSŁAW LEGAT
„SZTYNDER”

PIOTR FRELEK
„SZYMON”

MARIAN ZAJĄC
„MARIAŃCIO”

STANISŁAW FRELEK
„STASIEK”

1. **Stanisław Nowosielski**
2. **Marian Anczarski**
3. **Zdzisław Nowosielski**
4. **Stanisław Oskroba**
5. **Wacław Oskroba**
6. **Wiktor Całka**
7. **Zenon Całka**
8. **Tadeusz Habera**
9. **Stanisław Sowiński**
10. **Leszek Pachla**

KILKA ZDAŃ NA TEMAT SKŁADÓW

Ciekawie to wygląda, prawda? Wziąłem wszystko pod uwagę, co działo się przed nami, jak również i to, co działo się, gdy ja grałem z kolegami, a więc tych wszystkich, którzy grali, choć kilka razy w Parysowie od lat czterdziestych do pięćdziesiątych. Wydaje mi się, że zrobiłem to obiektywnie, ale przecież każdy może mieć na ten temat swoje, nawet odmienne zdanie.

Ciekawy jestem jakby ta zabawa wyglądała, gdyby pokusili się o ustalenie takich dwóch składów drużyn: ci, którzy grali w Parysowie oraz kibice, którzy znają się na piłce i pamiętają dawne lata. Ustalanie składów byłoby łatwiejsze, natomiast obsadzenie poszczególnych pozycji o wiele trudniejsze. Ja sam ze sobą jestem gotów dyskutować na ten temat, no, bo proszę popatrzeć na pierwszy skład. Obsadzenie kilku pozycji jest dla mnie bezsporne, są to: środek ataku, na którym widzę Zdziśka Zabiegałowskiego, „Leonka” na stoperze, Stefana na lewym skrzydle i Frania Nikitę na prawym łączniku. Pozostałe pozycje są naprawdę dyskusyjne, np. czy „Julusia” nie można zastąpić Kazikiem? „Juluś” grał w bramce w drużynie naszych starszych kolegów. Albo „Olka” zamienić z Januszkiem, przecież obydwaj mieli „słuszne prawe kopyta”, albo trójkę Wardaka, Kazika i mnie. Każda ewentualność jest możliwa. Wszyscy trzej byliśmy obunożni, ale nie wiadomo, z kim czuliby się najlepiej Stefan i Franio Nikita. Na temat Zdziśka Frelka zbyt wiele nie mogę napisać. Wiem, że grał na lewej obronie i był kapitanem drużyny. Mało pamiętam go z boiska. Jeśli był kapitanem drużyny to musiał wiele znaczyć. Można dyskutować czy Stasio Badurek nie powinien znaleźć się w pierwszym składzie, ale jak pisałem grał na lewym skrzydle. Tak się składa, że na lewej stronie jest duża konkurencja w obydwóch składach. Rezerwując lewe skrzydło dla Stasia Badurka wyrugować Stefana Frelka. Kto na to by się odważył? Przecież Stefan to legenda, a Kazik? Czy łatwo byłoby wygrać z nim rywalizując o lewy łącznik? Gdyby Kazikowi dać miejsce w bramce, to „Juluś” wchodzi na lewy łącznik. Albo „Cabaj”- przecież grał na lewym łączniku. Znowu wpada na „Julusia” lub Kazika. I bądź tu człowieku mądry.

Jeśli chodzi o mnie, to zarezerwowałem dla siebie miejsce w pierwszym składzie bez żadnej zarozumiałości. Gdybym siebie pominął w obydwóch składach, to byłaby fałszywa skromność. No, bo jakie można mieć odniesienie do zdania Jurka Pikuty wypowiedziane do Tadek Wysockiego: „Tadek, przenieśmy się po przerwie w meczu

na przeciwległy kraniec boiska. Popatrzymy znowu na Franka, to prawdziwy ligowiec”. Oczywiście ze słowem „ligowiec” Jurek przesadził, ale takie zdanie wypowiedział. Dowiedziałem się o tym od Tacka Wysockiego po jednym z meczów. Czy Jurek Piłka znał się na piłce? Pytanie to pozostawiam bez odpowiedzi. Były też inne zdania schlebujące mi, ale jak wspominałem, nie wszystko o sobie napisałem. Nie wziąłem pod uwagę moich młodszych kolegów przy typowaniu składów, widziałem na przestrzeni kilku lat cztery razy. Raz im sędziowałem, raz z nimi grałem obok Kazika i „Julusia”. Dwa razy oglądałem ich jako kibice, raz w Parysowie i raz w Radości. Na przestrzeni kilku lat moi młodszy koledzy tworzyli dwie różne drużyny. Ta lepsza grała nawet klasie „B”, ale zaczynali od klasy „E”. Tu też było kilku bardzo dobrych piłkarzy, a po nich grali inni i jeszcze następni. Ciekawy jestem czy ktoś z kibiców (a są tacy), kto oglądał mecze od lat czterdziestych po dzień dzisiejszy odważyłby się wytypować dwie takie jednostki. Byłyby to jednostki całego okresu powojennego. Wspominałem, że obok Kazika i „Julusia” grałem w drużynie moich młodszych kolegów. Jak do tego doszło? Miała przyjechać drużyna z Łaskarzewa. Opiekun młodszych kolegów Tadeusz Frelek w towarzystwie Radka Frelka zwrócili się do mnie i Kazika, abyśmy zasili skład ich drużyny. Zgodziliśmy się, bo czy można było odmówić? Z Kazikiem zagraliśmy na lewej stronie ataku, on na skrzydle, a ja łączniku. Mogło być odwrotnie, było nam wszystko jedno. Chcieliśmy grać obok siebie. Zresztą w czasie meczu często zmienialiśmy pozycje. W składzie młodszych kolegów zmieściliśmy się swobodnie, jak kiedyś Stefan Frelek u nas. Jeśli mnie pamięć nie myli, to przegraliśmy 2:5. Ja nawet strzeliłem pierwszą bramkę dla Parysowa z podania Kazika. Po przerwie wszedł na boisko „Juluś” i strzelił drugą bramkę z karnego. Jedno, co mnie bardzo zaskoczyło, to fakt, że graliśmy w Parysowie, a większość kibiców była w Łaskarzewie. Coś nieprawdopodobnego. Pomyślałem sobie, że to już nie tamte lata (znowu nie takie odległe). Wydaje mi się, że graliśmy nienajgorzej, bo na trzech ze starego składu strzeliliśmy dwie bramki. Na więcej nas nie było stać, a jeden z młodszych kolegów, nieżyjący już Stasio Domański, powiedział do mnie sposób życzliwy następujące słowa: „Ty już nie jesteś tym Frankiem sprzed siedmiu lat”. Pewnie, że nie byłem, przecież od tamtych czasów nigdzie nie grałem. „Juluś” też, Kazik trochę grał w Międzylesiu, ale w tym czasie też już nigdzie nie grał. Po tym meczu rozgoryczony Kazik powiedział o młodszych kolegach, że to oni powinni strzelać bramki, a nie my. Miał rację, my mieliśmy pomagać, a nie brać ciężar walki na siebie. Wcześniej wspominałem, że w Parysowie nie strzeliłem nigdy bramki. To prawda, bo grałem na obronie, a tą, którą strzeliłem była po paru latach w zupełnie innej drużynie. Można jej, więc nie liczyć. Januszek i „Leonek” też nie strzelili żadnej bramki. My mieliśmy zadanie inne, mieliśmy nie dopuścić, aby przeciwnicy nam strzelali bramki. Nie chciałem powiedzieć, że obrońca nie może strzelić bramki, ale nie jest to łatwe. Wspominałem wcześniej, że udawało mi się przejść niejednokrotnie z piłką przez całe boisko, szczególnie po przerwie. Próbowałem, więc strzelić bramkę, ale mi się nie udało. Trzeba wziąć pod uwagę zmęczenie po takim rajdzie i skomasowaną obronę cofających się przeciwników. Próbowałem raz zaskoczyć bramkarza jednego z naszych przeciwników strzałem z ok. 35m. Nic z tego nie wyszło, bo choć strzeliłem górną nad głowami przeciwników, to odległość była dość

duża i bramkarz dość swobodnie obronił. Usłyszałem szmer wśród publiczności, zaskoczyłem ich tym, szkoda, że nie bramkarza. Januszek też miał „ciągoty” do przodu, ale bramki nie strzelił. Zapędzał się też do przodu, ale już rzadziej „Leonek”. Oglądając dziś mecze, ktoś może powiedzieć, że graliśmy bardzo nowocześnie jak na tamte lata. Chyba tak było. Ja sobie ten fakt tłumaczę tym, że wszyscy trzej graliśmy kiedyś w ataku, a tylko z konieczności poświęciliśmy się dla dobra drużyny, grając w obronie. Zresztą wspominałem, że ja w szkole „etatowo” grałem na lewym skrzydle, dlatego też miałem zapędy do wybijania kornerów. W tym czasie chodziliśmy z kolegami na mecze ligowe i międzypaństwowe, jakie odbywały się w Warszawie. Podglądaliśmy, więc najwyższej klasy piłkarzy takich jak Cieślik, Pol, Brychczy, Hacharek, Szymkowiak, Baszkiewicz i inni. Mnie osobiście to bardzo wiele dało.

Pozwolę sobie powrócić jeszcze do cudownej atmosfery na meczach w Parysowie i choć wiele już na ten temat napisałem, to i tak nie wszystko. Graliśmy w różnych warunkach atmosferycznych, gdy żar lał się z nieba, to kibice „ratowali” nas podczas gry kompotem i innymi napojami. Kiedyś ledwo w biegu zdążyłem oddać butelkę z kompotem J. Nowosielskiej, mamie grającego kolegi Stasia. Nastąpił wtedy niespodziewany kontratak przeciwników, ale kilka łyków wypilem. Graliśmy również podczas deszczu. Wtedy podczas przerwy zostałem zaproszony przez Hanię Żurawek i Krysię Zajęc do schronienia się pod nieprzemakalny płaszcz. Podobnie było z moimi innymi kolegami. Pamiętam, jak rozpędzony, a następnie podcięty przez przeciwnika, kilka metrów „przejechałem” przez kałużę. Zmoczony byłem zupełnie. Ale trzeba było słyszeć reakcję kibiców, którzy się o mnie upominali. Myślałem, że wtargnę na boisko, ale na szczęście do tego nie doszło. Dochodził do nas głos piszczących dziewczyn, gdy Kazik rzucał się pod nogi rozpędzonego przeciwnika. Tak te koleżanki przeżywały, ale nic mu się nie stało. Był ogromny krzyk, gdy my atakowaliśmy, tak nas wszyscy dopingowali. Jak więc można było przegrywać na własnym boisku. Na mecze wyjazdowe mogli się zebrać tylko nieliczni, bo ilość miejsc była bardzo ograniczona. Powinienem napisać kilka zdań o kolegach, którzy rozpoczynali grać razem z nami jako młodzi chłopcy. Janek Domański miał duże zacięcie do gry, zmarł jednak w wieku lat 15 na zapalenie opon mózgowych. Wiesiek Sekita dwa lub trzy lata później zginął tragicznie w kopalni, wspaniale zapowiadający się piłkarz. Z całą pewnością obydwaj mieliby miejsce w naszej drużynie w latach pięćdziesiątych. Nie wspominałem o pierwszym meczu, jaki w ogóle został rozegrany między Łukawcem i Parysowem. Obydwaj, tak Wiesiek jak i Janek grali w tym meczu. Dla mnie zabrakło miejsca w drużynie. Mieliśmy wtedy po około 13 lat, a ja ledwo, co wstałem z łóżka po kilkuletniej chorobie na nogę. Zaczynałem już grać z kolegami, byłem na meczu obok innych w Łukówcu, ale tego pierwszego meczu nie grałem. Później już miałem stałe miejsce w drużynie. Koledzy wygrali wspaniały pierwszy mecz a nasi starsi koledzy cieszyli się, że rosną następcy, słyszałem ich słowa radości przypadkowo. Dobrze zapowiadał się „Imek” Kowaluk, a wielkiego zacięcia do gry nie wykazywał. Widocznie nie chciał grać, ale na treningi przychodził, aby czasem „pokopać”. „Imek” też grał w Łukówcu, zmarł w latach sześćdziesiątych, był bardzo zdolnym chłopakiem. W tym pierwszym meczu grali również Antek Zajęc oraz Stasio Polak na obronie. Wtedy mówiło się, że grali „na

beku". Zrobiło mi się trochę smutno. Ale nie sposób byłoby nie wspomnieć tych, z którymi tyle potu wylałem na boisku jako młodziutki chłopiec. Obiecałem, że napiszę jeszcze parę słów o „Cabaju”. Rozsypana się już drużyna naszych starszych kolegów grała mecz z Trąbkami na wyjeździe. Byłem ze swoimi kolegami na tym meczu i pamiętam, że „Cabaj” zagrał w tym meczu. Był to dla niego wielki zaszczyt. Zapowiadał się, więc wspaniale, ale wielu z nas zrobiło większe postępy niż on. Ciągłe, do „Cabaja” miałem jakiś mały żal, bo od niego w latach pięćdziesiątych (55-57) należało wymagać dużo więcej. Są piłkarze i byli tacy wśród nas, którzy byli u szczytu albo blisko szczytu swoich możliwości. Więcej z nich by się nie wydusiło. „Cabaj” do tych szczytów możliwości miał daleko. Mógłby i powinien grać znacznie lepiej. Dlatego wcześniej pozwoliłem sobie napisać, że zahamował się w rozwoju jako piłkarz.

Co innego „Leonek”, początkowo grał w ataku a później z konieczności na stoperze i wyrósł nam na bardzo dobrego piłkarza. Cała nasza obrona miała przydomek „betonowej obrony”, a „Leonek”.- „zapory nie do przebycia”. Tego samego ja oczekiwałem od „Cabaja”. Nie chcę powiedzieć, że był złym piłkarzem, bo tak nie było (był w czołówce), ale powinien grać znacznie lepiej. Stać go było na to.

Urodzony napastnik powinien być przebojowy, szybki i mieć ciąg na bramkę. On to wszystko miał, tylko nie takie jak trzeba. Wydaje mi się, że najbardziej brak mu było szybkości.

Co innego Stasio Badurek- ten szalał na lewym skrzydle. Tak się złożyło, że pracowaliśmy przez kilka lat ze Stasiem Badurkiem w sąsiadujących ze sobą zakładach. Znałem jego kolegów z pracy, niejednokrotnie rozmawialiśmy. Jego koledzy z pracy między zdaniem mówili „graliście razem w piłkę”. Potwierdziłem to. Domyślałem się, że Stasio też opowiadał kolegom o swojej przygodzie z piłką. Nie mógł nie opowiadać. Tego nikt z nas, dawnych piłkarzy „PARTYZANTA” Parysów zapomnieć nie może. Czy spotykamy się? Oczywiście, że tak, choć może nie wszyscy razem i nie jednocześnie. Jak spotykam się z Januszkiem Romankiem, ponieważ mieszkamy na jednym osiedlu w Michalinie. Z Kazikiem spotykam się też bardzo często, „Leonka” i Stasia Oskrobę też spotykam. Z Marianem Janczarskim nie sposób się nie spotkać, przecież jesteśmy ciotecznymi braćmi, o Stasiu Badurku już pisałem. Pracuje też gdzie indziej, „Julusia” spotykam w Parysowie, ale przelotnie. Dawno nie widziałem się z „Cabajem”. Wiem, że z „Leonkiem” są do dziś dobrymi kolegami. Jeszcze dłużej nie widziałem Stasia Nowosielskiego i Ryśka Wordaka. Z niektórymi nie spotkamy się już nigdy, bo nie żyją. Do nich należą Tadek Żurawek, o którym wiele pisałem i Rysiek Rogowski, który zmarł w latach osiemdziesiątych. Tadek mieszkał przez drugą połowę swojego życia w Bydgoszczy. Tam się ożenił i założył rodzinę. Odwiedziłem go tam dwa razy. Będąc w pobliżu na wczasach z rodziną postanowiłem drugi raz odwiedzić Tadka. Miałem przemierzyć ponad 100 km, ale na samochód to niewiele. Tadek wart był tego. Wiedziałem, że się ucieszy i nie pomyliłem się. Rozmawialiśmy w jego domu o wszystkim i o wszystkich do późnych godzin nocnych przy „wzmocnionej” kawie. On mieszkał z dala od dawnych kolegów i nie ukrywał tęsknoty. Opowiadał mi, że „wpada” do Parysowa na grób swojej matki,

ale spotkać nas nie mógł, ponieważ prawie wszyscy mieszkamy w Warszawie lub w jej pobliżu. Śmierć jego w latach osiemdziesiątych bardzo nas wszystkich zaskoczyła.

ROZMOWA ZE STEFANEM FRELKIEM

Jak już wspomniałem Stefan już wtedy, gdy my z kolegami graliśmy, miał swoje honorowe miejsce wśród sportowców Parysowa. Ma je tym bardziej teraz, dlatego nie waham się użyć określenia, że jest legendą. Grywał z nami, bywał na meczach jako kibic. Kilku z nas chwalił. Dowiedziałem się o tym od kibiców. Sprowokowany tym stwierdzeniem zadałem w rozmowie ze Stefanem prowokacyjne pytanie: "Powiedz mi Stefan, którą drużynę oceniasz wyżej, tą, w której ty grałeś pierwsze skrzypce, czy tą, którą oglądasz obecnie. Kto wygrałby, gdyby dla was czas się zatrzymał i zmierzylibyśmy się na boisku?" Stefan rzecz jasna zrozumiał, że jest to czysto teoretyczne pytanie, nie do sprawdzenia. Stefan mówi mi, że ta drużyna, w której ja gram jest bardziej wyrównana od tamtej. Miał rację, bo on (i kilku innych) był o dwie klasy lepszy od niektórych swoich kolegów. Nas takich dysproporcji nie było. Tak czy inaczej odczułem to jako uchylenie się od odpowiedzi. Nie jest to zresztą takie ważne. Trzeba bezstronnie stwierdzić, że my graliśmy na trawiastym boisku i w lepszym obuwiu. Na boisku na Targowicy (klepisko) i bez korków nie sposób byłoby robić głębokie zwady i pokusić się o akrobatyczne zagranie. A czy kolegów Stefana byłoby na to stać już inna sprawa. O finansowaniu sportu w pierwszych kilkunastu latach po wojnie nie wspominał, bo go prawie wcale nie było. O tym już wspomniałem, takie były czasy.

PO TRZYDZIESTU KILKU LATACH

Na dzień dzisiejszy o piłce w Parysowie nie wiem prawie nic. Podobno grają, postanowiłem sobie, jeśli trafię na mecz w Parysowie to pójdę zobaczyć. Jeżdżę mniej więcej raz w miesiącu na cmentarz, ale niekoniecznie w niedzielę. Nie wiem czy mecze nie odbywają się w sobotę, tyle się przecież zmieniło. Wierzyć się nie chce, że nasza przygoda z piłką zakończyła się 34 lata temu. Ciekaw jestem czy dziś na mecze chodzą kibice z tamtych lat, żyją przecież jeszcze, ale niestety nie wszyscy. Widać to, jeśli chodzi się po cmentarzu w Parysowie. Czasem przechodząc patrzę i nie chce mi się wierzyć. Rzeczywistość jest jednak nieubłagana. Niektórzy kibice, a nawet piłkarze ci starsi i młodszy leżą na cmentarzu w Józefowie. Zresztą gdzie ich nie ma. Wielu jednych i drugich spoczywa na prawie wszystkich warszawskich cmentarzach. Należałoby zapytać, co mnie skłoniło do napisania tego pamiętnika, albo, jak kto woli wspomnień. Może ktoś zażartować, że teraz takie pisanie jest modne. Inspiratorem tego wszystkiego Stanisław Polak, nasz kolega i kilka razy grający na początku w tej drużynie piłkarz. Kiedyś nie tak znowu dawno odwiedził mnie w pracy Stasio Polak. Trochę porozmawialiśmy o tym i o owym i właśnie Stasio powiedział, że dobrze byłoby, aby ktoś to zebrał w całość i coś na ten temat napisał. Kazik poparł pomysł

Stasia, a Januszek w przelotnej rozmowie przyjął to z życzliwym uśmiechem. Poza tym z nikim na ten temat nie rozmawiałem, ale przy okazji będę rozmawiał, aby uzupełnić i uściślić moje wspomnienia. Stasio jeszcze nie wie jak „narozrabiał” swoją inspiracją. Będzie się zapewne sympatycznie uśmiechał jak się dowie, że jego pomysł jest zrealizowany. Ja nie mam zamiaru zakończyć na tym, co napisałem. Liczę jak dawniej na moich kolegów. Tym razem liczę, że coś mi podpowiedzą i to w uzupełnieniu znajdzie się w tych wspomnieniach. Przecież nie wszystko pamiętam i nie byłem bezpośrednim świadkiem tego wszystkiego z tamtych lat. Ideałem byłoby, aby każdy z nas napisał coś podobnego i wtedy można byłoby to wszystko zebrać w jedną całość. Wiem, że jest to trudne, a nawet nie możliwe. Każdy ma swoje sprawy i chodzi inną ścieżką. Już wspominałem, że Rysiek Wardak grał bardzo dobrze, ale na przeciwległej stronie boiska, ja najbardziej pamiętam, co działo się na lewej stronie boiska. To samo dotyczy Januszka Romanka i choć obydwaj graliśmy w obronie to jednak dzieliła nas prawie cała jego szerokość. Może wydawać się to dziwne, ale ja nie pamiętam, abyśmy, choć raz wymienili ze sobą piłkę. Nasza współpraca ograniczała się od czasu do czasu braniem przeciwnika w tzw. kleszcze, aby nie narażać Kazika na kontuzję. Januszek rządził na prawej stronie defensywy, a mnie w udziale przypadła lewa strona.

„Leonek” miał z nami bezpośredni kontakt, bo grał na środku obrony. Ja z Leonkiem czasem wymieniałem kilka zdań. Z Januszkiem nie było okazji. Każdy z nas grał swoje. Pamiętam tylko, że w czasie jednego meczu, gdy przyjechała trochę słabsza drużyna to trzech obrońców stało obok siebie i czekaliśmy, co zrobią koledzy z ataku. My staliśmy bezczynnie. Januszek stał z prawej strony, a ja z lewej nie pamiętam, kto stał w środku. Mógł to być „Leonek” lub w pierwszym sezonie „Olek”. Taką przewagę mieliśmy, że pozwoliliśmy sobie na taką nonszalancję. Gdyby ktoś z kibiców był złośliwy to mógłby zapytać. Może wam jeszcze podać kawę? Muszę stwierdzić, że słyszało się szmer wśród kibiców po ataku przeciwnika, ale my szybko „rozsypaliśmy się” i nie dopuściliśmy do utraty bramki. Z tego, co zapamiętałem szmer ten miał wyrażać i wyrażał dezaprobatę wobec naszej nonszalancji. Co byłoby, gdybyśmy stracili bramkę. Więcej tego nie robiliśmy. Jeśli jestem przy obrotnicach, to chciałbym powiedzieć, że z Januszkiem kilka razy wymienialiśmy pewne zdanie, ale przed meczem. Jeden do drugiego mówił- „staraj się, aby z twojej strony nie padła bramka”. Zupełnie szczerze mogę powiedzieć, że nie wiem, z której strony ich więcej padło. Nie licząc meczu z Wesołą nie było ich aż tak wiele. Zdanie, o którym wspominałem było wypowiedziane przez jednego z nas z uśmiechem i raczej żartobliwie, bo każdy z nas wiedział, co do niego należy. Przed chwilą użyłem kilka razy określenia nonszalancja. Przypomniały mi się słowa Mariana Anczarskiego, który kiedyś powiedział mi, że złościł się trochę na mnie, że, gram zbyt pewny siebie, nawet nonszalancko. „Prowadzisz piłkę -mówi Marian -nonszalancko a później następuje zryw jakby w ciosie strzelił piorun”. No właśnie czy ten Marian miał rację? Ja znosiłem to świadomie, prowadząc piłkę wolno niby nonszalancko głowę miałem uniesioną do góry i obserwowałem ustawienia się moich kolegów. I wtedy właśnie, gdy uważałem za stosowne udawałem, że strzelił we mnie piorun. Ja to nazwałem zmianą tempa gry. Przecież tą swoją nonszalancją usypiałem naszych przeciwników. Nikt z kolegów z

boiska takich uwag mi nie czynił. Zapamiętałem, że koledzy z ataku niecierpliwili się, gdy przechodząc przez prawie całe boisko z piłką nie pozbywam się jej, ale po tej strzelonej przez Stasia Oskrobę bramce z mojego podania i oni już się nie niecierpliwili. Pogodzili się z tym. Miał też trochę pretensji do mnie jeden z kibiców, ale racji nie miał tylko, że później się o tym dowiedział, pewnie od któregoś z innych kibiców. Kiedyś sytuację przeciwnika tak, aby piłka wyszła na aut bramkowy. Ku mojemu zdziwieniu nie podobało się to p. Wiesławowi Łubianowi. Nie rozumiem takiej gry. Ja po uwadze pod swoim adresem zdenerwowany wykrzyknąłem następujące słowa „niech pan się nie wtrąca”. Wiadomo, że racje miałem ja, bo po tym fakcie my wybijaliśmy piłkę od własnej bramki. Czynili to na zmianę Januszek lub „Leonek”, bo mieli ode mnie lepsze „kopyta”. I co w tym ciekawego? Po meczu, gdy już umyty i odświeżony idę na zabawę spotykam na chodniku p. W. Łubiana. Na swój sposób przeprosił mnie, że nie miał racji z tą pretensją podczas meczu. Zapamiętałem, że wypowiedział do mnie słowa „nie miałem racji”. Muszę powiedzieć, że ten starszy Jan zachował się po meczu wobec mnie bardzo elegancko, a co najważniejsze umiał przyznać się do błędu. Wiele w moich oczach zyskał. Nie ma ludzi nieomylnych. Do dziś bardzo szanuje ludzi, którzy potrafią przyznać się do błędu. Błędy popełnia przecież każdy, sam też mam odwagę przyznać do błędu. Nie jest to ujemna cecha, wręcz przeciwnie. Staram się być obiektywny pisząc te wspomnienia. Wszystko, co jest godne uwagi i dotyczy moich kolegów zawarte jest w tych wspomnieniach. Jedno, co jest pewne to fakt, że nie wszystko pamiętam. Już wspomniałem, że liczę na kolegów, iż może mi coś podpowiedzą lub poprawią błędnie podany wynik któregoś z meczów. Czy czegokolwiek żałuję, co jest związane z piłką. Tak żałuję, że nie doszło do spotkania z moimi kolegami ze szkoły na boisku w Parysowie oraz tego, że z tych dwóch drużyn przynajmniej raz nie udało się stworzyć jednej. Wiadomo, że zagrałiby najlepsi. Krótko mówiąc połowa drużyny z jednej i drugiej strony tworzyłyby jeden zespół.

ZABAWIĘ SIĘ DRUGI RAZ

KAZIMIERZ ANCZARSKI

JAN ROGOWSKI
„LEONEK”

STANISŁAW OLESZCZUK
„OLEK”

STANISŁAW KORPALSKI
„KORPAL”

JAN ROMANEK

JACEK KUŁAKOWSKI

TADEUSZ BĘDKOWSKI
„BĘDEK”

TADEUSZ DOLINA

RYSZARD WARDAK

JAN NOWOSIELSKI

FRANCISZEK FRELEK

„JULUŚ”

To byłoby dopiero to, co być powinno, ale znowu można podyskutować. O Januszkę i o „Olku” wspomniałem przy poprzedniej zabawie z dwoma składami. W odróżnieniu od tamtych składów ja widzę siebie na lewym skrzydle, bo nie ma Stefana, a Kazik ma miejsce na bramce. W szkole mieliśmy słabszego bramkarza w osobie Witka Cały - dziś pana inżyniera. Parę razy widziałem go w latach 60-tych. Nie wyobrażam sobie, aby na lewym łączniku nie zagrał Tadeusz Dolina (ten, który przesiadywał w wojskowym pudle-pisałem o tym). Byliśmy na lewej stronie partnerami przez 4 lata. Trudno mi uwierzyć, aby Tadek chciał grać z kimkolwiek innym. My się rozumieliśmy-byliśmy bardzo dobrze zgrani. Stwierdzenie, że on grał na łączniku, a ja na skrzydle jest rzeczą umowną. W czasie, gry trudno było zorientować się, na której pozycji któryś z nas gra, graliśmy na tzw. „krzyż”, podawałem mu piłkę, gdy wychodził na skrzydło, a sam biegłem na pozycję łącznika i odwrotnie. Kiedyś tak graliśmy w Pilawie z „Cabajem” i narobiliśmy wiele zamieszania w drużynie przeciwnika. Był to dobry sposób na robienie zamieszania, ale trzeba było mieć szybkość. Podejrzałem to na meczu ligowym lub międzypaństwowym w Warszawie. Warto było zachodzić na dobre mecze w Warszawie. Z Tadeuszem Doliną ten sposób gry mieliśmy bardzo dobrze opanowany i byliśmy postrachem wśród kolegów w szkole. Gdy po latach spotkałem na Okęciu Wojtkę Wieczorkiewicza to mówił, że jeszcze do dziś (był to rok 1960) wspominają Tadeka i inne oraz nasze rajdy po skrzydle. Wojtek też grał z nami na pomocy. W tym czasie, gdy mi to mówił pracował obok innych kolegów w W.S.K. Okęcie, a ja w Instytucie Lotnictwa. Obydwie firmy są na Okęciu i graniczą ze sobą. Nie ukrywam, że Wojtek przypominając Tadeka mnie zrobił niezłomną przyjemność. Dawno już żadnego z kolegów ze szkoły nie widziałem. Trudno mi to zrozumieć. Część z nich wyjechała z Warszawy, ale większość kręci się po Warszawie tak jak i ja. Przytaczając słowa Wojtkę Wieczorkiewicza, mam prawo przypuszczać, że moi koledzy ze szkoły też wracają do tamtych dni swoimi myślami. Trudno żeby nie wracali, przecież są ludźmi z krwi i kości, a więc trudno im tego nie czynić. Były to

cudowne lata, wszyscy byliśmy w jednym wieku i mieliśmy podobne zainteresowania. Na szkolne zabawy też chodziliśmy, w Parysowie było podobnie, ale swojsko. Tu nas wszyscy znali. Gdy któryś z nas zrobił coś złego, to zaraz wszyscy o tym mówili, bo byliśmy popularni. Więcej też od nas niż od innych wymagano wtedy, gdy byliśmy poza boiskiem. Tak to już w życiu jest. Czy miałem tremę wychodząc na boisko? Muszę powiedzieć, że nie. Im było więcej kibiców, to tym bardziej dobrze mi się grało. Robiłem tak jak i inni koledzy nie tylko dla siebie, ale też dla tej niezapomnianej publiczności. Była w tych czasach dla kibiców jedyna rozrywka. Wspomniałem, że ze względu na brak elektryfikacji w Parysowie radia, ani telewizji nie było, z resztą były to początki telewizji w ogóle, nawet w Warszawie. Dziś są inne czasy pod każdym względem w tym zmaterializowanym świecie.

NASI DZIADKOWIE, STEFAN I JA

Już pobieżnie o tym pisałem, ale pewne fakty chciałbym opisać szczegółowo (rozwinąć). Otóż ja nie byłem świadkiem jak do tego doszło, że Stefan Frelek zgłosił chęć do gry. Przypuszczam, że ktoś z kibiców go do tego namówił. Nie wiedziałem, że jest wśród publiczności, a nawet go się nie spodziewałem, bo mieszkał poza Parysowem. Ja natomiast prawdopodobnie ubierałem się kilkanaście metrów, od czego za chwilę miałem być świadkiem. W pewnym momencie wyrasta mi jak z pod ziemi Stefan. Wita się ze mną i mówi zagramy obydwaj na lewej stronie ataku. Był już przygotowany do gry. Dobrze, ale wybieraj skrzydło czy łącznik. Wybrał skrzydło. Wspominałem, że było małe poruszenie wśród kibiców. Widocznie wcześniej wiedzieli, że będziemy grali razem. Po losowaniu boiska ktoś powiedział, „przejdźmy na drugą stronę to popatrzemy, Stefan gra z Frankiem”. Nasi dziadkowie i Franciszek to dwaj bracia. Czy Stefan o tym wtedy pomyślał? Nie wiem. Ja niestety nie. Wolno mi przypuszczać, że gdyby nasi dziadkowie żyli i byliby kibicami, to przeszliby na drugą stronę razem z niektórymi kibicami, aby zobaczyć jak grają ich wnukowie i to w dodatku razem na lewej stronie ataku. Zapytał mnie kiedyś Stefan czy wiem, że jesteśmy kuzynami. Oczywiście, że wiem odpowiedziałem, dobrze, że ty o tym wiesz – dodałem z uśmiechem. Był i jest ode mnie starszy o 5 lat i mógł przypuszczać, że o tym nie wiem. Stefan proponując mi partnerstwo w grze zapewne nie brał pod uwagę naszego pokrewieństwa tylko czysto sportową „stronę medalu”. Do Stefana zawsze miałem duży szacunek, przede wszystkim jako do sportowca. Nie muszę dodawać, iż czułem się zaszczycony jego propozycją i tym poruszeniem wśród niektórych kibiców. Lubiłem go i lubię jako kuzyna, a przede wszystkim jako starszego kolegę. O Stefanie mówimy z kolegami, że to równy chłopak. Ładny mi chłopak 58 lub 59 lat. Sport go jednak ładnie zakonserwował. Widziałem go dwa lata temu, przelotnie. Podczas niniejszych wspomnień określiłem go jako legendę. Ani przez moment nie zawahałem się, aby użyć tego określenia. Pisałem nie jednokrotnie, że grał w piłkę nożną wspaniale, gdy był w kwiecie wieku. Nie wszyscy wiedzą, że ścigał się z galopującym koniem. Tak to prawda. Uprawiał też sporty uzupełniające. Obok

swoich kolegów rozgrywał mecze w siatkówkę. Pod tym względem byli od nas z całą pewnością lepsi. Pisałem, że przegrali ze Stoczkiem 0:3 (w Parysowie było 4:2). Nie mogę się z tym pogodzić, zaproponowali rywalom rozegranie meczu w siatkę. Wygrali z nimi, chcieli się jak gdyby odegrać i odegrali się. Wynika z tego, że byli ambitni. Tak rzeczywiście było, bo poza boiskiem wyrosli z nich bardzo wartościowi ludzie.

Ze Stefanem, bo o nim chcę napisać najwięcej w tym rozdziale, nie rozmawiałem bezpośrednio około 30 lat. Przez telefon rozmawiałem z nim 15 lat temu. Jak do tego doszło? Otóż jedna z moich koleżanek z pracy podała mi telefon do Stefana i prosiła o załatwienie pewnej sprawy za jego pośrednictwem. Stefan uwzględnił prośbę, a koleżanka zawsze się po tym do mnie uśmiechała. Już ze mną nie pracuje. Ze Stefanem kłanialiśmy się sobie z za szyb naszych samochodów w Warszawie. Jeśli będzie okazja, to tym razem ja pojedę do niego, aby porozmawiać i być może uzupełnić wiadomości o sporcie(przede wszystkim piłce nożnej) w Parysowie w latach 40. Zapytałem, czy pamięta słowa, które wypowiedział w latach 50. do kibiców, że najlepszymi piłkarzami w Parysowie są Kazik i Franek. Jeśli to potwierdzi, to powiem nie ujmując nic Kazikowi, że nie miał racji. Takich par jak Kazik i ja było w Parysowie więcej. Jest takie powiedzenie, że nie ważne, co mówi, ale kto mówi. Być może usłyszałem to od kibica tylko, dlatego, że mówił to Stefan. I choć zdanie jego każdy szanował, to jak tak powiedzieć nie mogę. Nie robię żadnej kurtuazji wobec kolegów. Już wspomniałem, że zadałem Stefanowi pytanie w latach 50., która drużyna była lepsza. Przez skromność nie zapytałem o Kazika i siebie. Szkoda, bo to, co dziś myślę powiedziałbym mu na gorąco, że takich jak Kazik i ja była połowa drużyny. Zawsze starałem się być obiektywny a tym bardziej wobec swoich kolegów. Mówiąc bez żadnej skromności i Kazik zapewne to potwierdzi, że takich par jak my było więcej. Przecież ktoś na przykład mógłby powiedzieć coś innego, że najlepsi to „Juluś” i „Leonek”. Wydaje mi się, że ci dwaj przeze mnie wymienieni nie mieliby o sobie takiego zdania. Każdy ma prawo powiedzieć swoje zdanie, ale nawet gdyby był bliski prawdy, to ten, co słyszy nie musi wcale tego potwierdzać. Ja nie podjąłbym się wytypować dwóch najlepszych piłkarzy mojego pokolenia. Gdybym to zrobił na siłę, to zrobiłbym krzywdę innym, jak wspomniałem, co najmniej połowie drużyny. Mógłbym dokonać wyboru 6-7 najlepszych, ale nawet teraz celowo tego nie zrobię. Już wspomniałem, że za partnerów w obronie miałem Januszka i „Leonka”. Stefan grającego nie w ataku raczej nie widział. Nie licząc tego jednego meczu, kiedy graliśmy razem na lewej obronie. Kazik grał w bramce, już mówiłem, że grał świetnie. Mimo wszystko ja Kazika wyżej oceniałem, gdy grał w polu. On w bramce grał tylko w Parysowie, już wspomniałem, że z konieczności tak jak ja w obronie. Gdyby mnie ktoś zapytał, z kim w latach 50. chciałem zagrać na lewej stronie ataku w Parysowie, to powiedziałbym, że z Kazikiem. Już wspomniałem, że Kazik był niezwykle szybkim piłkarzem, ale z „Leonkiem” i Januszkiem też tworzyliśmy niezłą formację i nie przypuszczam, aby się ktoś ośmielił powiedzieć, że zagra lepiej od nich na w/w pozycjach. Rozpisując się tak obszernie nad zdaniem wypowiedzianym przez Stefana pragnę powiedzieć tym, którzy będą czytali moje wspomnienia i pamiętają nas w latach 50. na boisku, aby przy ocenie byli obiektywni. To, że „Juluś” nie mógł sobie poradzić na meczu w Otwocku i zwrócił się do mnie o zmianę pozycji jeszcze nie

wszystkim świadczy. Mógł się zwrócić do Kazika, bo sam też grywał w bramce i wcale mnie by to nie zaskoczyło. Do „Leonka” się zapewne nie zwrócił, dlatego że ten był bezkonkurencyjny na stoperze, a w ataku nie musiałby zastąpić „Julusia”. To też jeszcze o niczym nie świadczy. Można powiedzieć, że z Kazikiem byliśmy dość uniwersalnymi piłkarzami. Ale czy można się dziwić, jeśli poza Parysowem(w szkole) graliśmy w ataku? Tak czy inaczej do wytypowania dwóch najlepszych piłkarzy lat 50. chyba nikt nie ma prawa. Czy Stefanowi było wolno? Może było wolno jako tej legendzie, ale należy podchodzić do tego lekko.

NASI OJCOWIE, KAZIK I JA

Jeśli się pisze, to pomyślałem, że trzeba napisać wszystko.

Będąc w pobliżu linii autowej, a więc blisko kibiców usłyszałem następujące zdanie „Gdyby Edek żył, to by się nim cieszył”. Mogło to dotyczyć równie dobrze Kazika lub mnie. Nasi ojcowie mieli na imię Edward i obydwaj polegli na polu chwały podczas ostatniej wojny. Byłem zajęty obserwowaniem gry kolegów i nie zauważyłem, kto to powiedział. Nawet nie spojrzałem w kierunku kibiców. Musiał to jednak powiedzieć jeden z kolegów naszych ojców. Ci też na mecze przychodzili, Kazik tego nie słyszał, bo stał w bramce i miał dalej do kibiców. Nigdy mu tego nie mówiłem, dowie się czytając moje wspomnienia. Pisałem już niejednokrotnie, że lubiłem grać razem z Kazikiem w bezpośrednim sąsiedztwie w polu, zdarzało się to niezwykle rzadko. A czy Kazik lubił ze mną grać? Proszę się go zapytać. Wspomniałem, że w szkole grałem na lewej stronie ataku z Tadzim Doliną.

Gdyby mi ktoś zadał kłopotliwe pytanie, z kim z tych dwóch chciałbym grać, to też dałbym sobie radę. Odpowiedź byłaby krótka „z jednym do przerwy, a z drugim po przerwie”. Uśmiecham się teraz i myślę, nie ma sytuacji bez wyjścia. Obydwaj byli jednakowo dobrzy. O Stefanie nie mogę mówić, bo gdy graliśmy razem w jednym meczu, to on okres swojej świetności miał poza sobą. Ja go rozumiałem, kibice byli być może podświadomie, ale bezwzględni. Uważali, że jeśli na przełomie lat 40. i 50. grał tak jak grał, to teraz też powinien podobnie grać. Nie ukrywa, że czuli się zawiedzeni, dało się to odczuć, ale złośliwi nie byli. Tak samo nie był uszczypliwy Stasio Romański (już nieżyjący), gdy mówił, że grając w drużynie młodszych kolegów nie jestem Frankiem sprzed lat. A przecież tak Stefan w naszej drużynie jak Kazik i ja w drużynie młodszych kolegów mieściliśmy się swobodnie. Kibice pamiętają człowieka z jego najlepszych lat, kiedy był w „gazie” i w ciągłym treningu. Takie to jest życie. Każdy, jeśli się zastanowi to dojdzie do takiego wniosku, do jakiego dojść powinien, ale na gorąco to taki zawód po paru latach kibicom się sprawia. W sporcie po roku bez treningu, każdy sportowiec nie jest już tym, kim był przed rokiem. Jeśli natomiast jeden czy drugi po pięciu czy siedmiu latach mieści się swobodnie w składzie drużyny swoich młodszych kolegów to o czymś musi świadczyć. O czym? to pytanie pozostawiam bez odpowiedzi. Niech każdy sobie sam na to pytanie odpowie.

CO DAŁ MI SPORT

Już wspomniałem, że nie żałuję, że uprawiałem sport. Żałuję, że moi koledzy ze szkoły i Parysowa nie zegrali przeciwko sobie, lub razem tworząc jedną drużynę, zegrali przeciwko wojakom z Wesołej. Dzięki jednym i drugim kolegom miałem stały kontakt ze sportem, nie tylko piłką nożną. Moi koledzy z tego, co wiem też nie żałują. Ja mam dodatkowy powód, aby nie żałować. Sport po kilkuletniej chorobie (trzech operacjach na nogę) dał mi zdrowie. Lewą nogę zawsze oszczędzałem szczególnie w tych najniebezpieczniejszych sytuacjach. W innych przypadkach nie. Było mi wszystko jedno, której nogi używam. Dlaczego sport dał mi zdrowie? Po kilkuletniej chorobie, która była następstwem dwóch operacji w tym dwóch poważnych, konieczna jest jak wiadomo rehabilitacja. Kto zmusiłby lub zdopingował mnie do gimnastyki nogi przez tyle godzin i przez około siedmiu lat. Chyba nikt. Chodzić przecież mogłem. Na potwierdzenie tego, co piszę niech będzie fakt, że do dziś ta lewa noga jest mimo sportu w tamtych latach wyraźnie słabsza. Jest sprawna, ale słabsza od prawej i tak już pozostanie. Zawsze prawą bardziej obciążam. A o ile była by ta noga słabsza gdybym w ogóle nie uprawiał sportu? Poza tym sport nam wszystkim pozwolił na zachowanie sprawności większej niż tym, którzy go nie uprawiali. Widzę to wśród moich rówieśników tak w pracy jak poza nią

Sport poza korzyściami fizycznymi kształtuje każdego pod względem psychicznym. Kształtował zapewne też i nas przez wyrobienie refleksu i wytrwałości. To, o czym piszę pomaga nam w życiu. Z tego, co wiem pomaga każdemu z nas w prowadzeniu samochodu. Każdy z moich kolegów z Parysowa (z kolegami ze szkoły nie miałem kontaktu, a szkoda), kto jeździ samochodem jest bardzo dobrym kierowcą. Urodzone predyspozycje są też ważne, ale sport jeszcze bardziej to rozwija. Są ludzie, którzy nigdy nie uprawiali sportu i też jeżdżą może nawet dobrze. Ja nie znam takiego kierowcy, który jeździł, ale uprawiając w latach młodości sport, ci, którzy prowadzą własne samochody wiedzą, że można jeździć lub się poruszać po drogach. Dla mnie jest to widoczna różnica. Ja tego nie wymyśliłem, że sport to zdrowie. Mogę do tego dodać, że pod każdym względem. Zaniedbanie masowości sportu wśród młodzieży w tym zmaterializowanym świecie jest niewyobrażalnym błędem. Pozwolę sobie zadać pytanie: „Który naszych synów by nas przeskoczył pod każdym względem?” Mamy po 54 lata. To pytanie adresuję do naszych kolegów, większość z nas ma synów. Przecież są to też młodzi i sprawni chłopcy. A ile razy każdy z nas przeskoczyłby czternastolatka, gdy mieliśmy po 20 lat. A więc wart było uprawiać sport. Pozwolę sobie odpowiedzieć za wszystkich, że warto! Ale pod jednym warunkiem, że sport dla sportowca nie skończy się kalectwem. My mieliśmy to szczęście, e nieszczęście nas ominęło. Tak się złożyło, że nasi synowie sportu nie uprawiali i już nie będą, bo mają powyżej 20 lat. My w tych latach kończyliśmy przygodę ze sportem. Z tego, co wiem wyjątkiem był, ale też krótko syn Kazika- Jacek. Rozpisałem się tak na ten temat jakbym pisał rozprawę naukową. Nie o to mi chodzi, nie mogłem odmówić sobie napisania kilku zdań na ten temat, które z mojego punktu widzenia są bardzo ważne.

Czy mam rację? Znowu to pytanie jak w wielu innych przypadkach pozostawiam bez odpowiedzi. Korzyści materialnych płynących dziś ze sportu nie biorę pod uwagę. My wtedy takich korzyści nie mieliśmy, przeważnie do tego pod względem materialnym dokładaliśmy. W sumie jednak zyskaliśmy i to bardzo dużo. Zyskaliśmy to, co procentuje przez całe życie. Po tym poważnie napisanym zdaniu zachciało mi się śmiać. Przyszło mi do głowy takie pytanie „ Czy synowie wygraliby choćby dziś w 1991r. mecz piłki nożnej lub siatkówki ze swoimi ojcami, tymi, którzy w latach pięćdziesiątych oprócz nauki sport uważali za jeden z najważniejszych celów w życiu”. Jestem gotów założyć się, że wygrana byłaby po stronie dwudziestolatków, ale tych z 1957 roku. Ktoś może powiedzieć, że nie wiadomo czy się śmiać czy płakać. Nasi synowie jeździli więcej na rowerach niż my. Dobrze i to, przynajmniej w taki sposób mieli kontakt ze sportem.

Nie wszystkie zapewne wymieniłem, ale myślę, że pomogą mi w tym moi koledzy z dawnych lat. Ze względów zrozumiałych nasze koleżanki nazywają się dziś inaczej. To właśnie te koleżanki zapraszały nas po meczach do białego tanga. Na mecze wyjazdowe raczej z nami nie jeździły, bo nie wypadało z chłopaczyskami jeździć ciężarowym samochodem. Wyjątki jednak były, ale rzadko. Gdy graliśmy w Świdrze lub Józefowie to zjawiały się pojedynczo, ponieważ mieszkały poza Parysowem i przyjeżdżały pociągiem. Większość z nas też już wtedy mieszkała poza Parysowem. Najmniej odporny psychicznie były Stasia Bieńko (zmarła niestety pod koniec lat 60) oraz Basia Rogowska – siostra Ryśka. Wydaje mi się, że dwie w/w piszczały najgłośniej. Każdy, kto zajął miejsce wśród publiczności przeżywał nasze zmagania inaczej. Są przecież różne charaktery, a więc zachowanie bywało mniej lub bardziej emocjonalna. Gdy wybiegaliśmy na boisko przed jednym z meczów usłyszałem jak jeden z kibiców chcąc nas podtrzymać i zagrzać do walki krzyknął „Dzieciaki trzymajcie się”. A więc trzymaliśmy się jak mogliśmy i umieliśmy, aby nie sprawić sobie zawodu jak również kibicom.

JESZCZE O KIBICACH

Jak wynika z moich wspomnień kibiców mieliśmy wspaniałych. Były rzadkie wyjątki, o których chciałbym wspomnieć. Otóż mamy korner, ja podbiegam do narożnika i ustawiam piłkę. Żeby wybić piłkę musiałem wziąć rozbieg. Ku mojemu zdziwieniu jeden z kibiców nie chciał usunąć się z rowerem, aby mi nie przeszkadzać. Moja uwaga nie poskutkowała. Wypowiedziałem zdenerwowany nieparlamentarne zdanie i z całej siły huknąłem korkiem w koło jego roweru. Poskutkowało. Innym razem podbiegam do wybicia „rogu” i słyszę pod swoim adresem „dajcie mu mleka”. Kibic chciał być dowcipny, mnie nie było do śmiechu, byłem jak każdy z nas rozgrzany psychicznie i fizycznie. Mimo, że był znacznie starszy ode mnie usłyszał „niech się pan sam tego mleka napije”.

Innym razem piłkę przyjąłem na nogę z woleja (z powietrza) i z całej siły niechcący trafiłem Stasia Nowosielskiego w głowę. Bardzo nie podobało mi się jak ktoś z kibiców

krzyknął „dobrze go”. Spojrzałem na Stasia czy nic mu się nie stało, ale go nie przeprosiłem, choć mu szczerze współczułem. Po tym miałem moralnego kaca i żal do tego kibica. Były to trzy przypadki złego zachowania się pojedynczych kibiców, w których ja brałem bezpośredni udział. Można byłoby te trzy incydenty pominąć, ale wspomniałem wcześniej, że będę obiektywny. I choć to nie ma większego znaczenia przy ocenie publiczności to jednak piszę wszystko, co jest godne uwagi. W innych przypadkach przy wybijaniu karnego kibice robili mi tyle miejsca ile było trzeba. Przypominam sobie dwa bardzo przyjemne fakty przy wykonywaniu w/w stałego fragmentu gry. W jednym kibic pyta mnie czy wystarczy mi tyle miejsca czy ma się jeszcze dalej odsunąć, a w drugim jeden z kibiców przez prawie całą długość boiska w sposób zdrobniały wykrzykuje moje imię, gdy podbiegam do piłki, którą wcześniej ustawiłem w narożniku boiska.

W znakomitej większości przypadków byli nam bardzo życzliwi. Zagrzewając nas do walki czuli się współodpowiedzialni za wynik meczu. Nie trzeba przecież dodawać, że my na boisku byliśmy rozgrzani nie tylko fizycznie. Ja mimo tego rozgrzania fizycznego jak i psychicznego nie poczułem się speszony tymi dwoma głupimi incydentami, o których wyżej wspomniałem. Przeszedłem pod nimi do porządku dziennego. W trzecim przypadku, gdy trafiłem piłką Stasia Nowosielskiego miałem do kibiców żal i odczułem to o wiele bardziej. Ja nie należałem do zawodników siłowych, ale jeżeli rozgrywa się określoną ilość meczów to nie sposób uniknąć zagrania, które wymaga siły. Rozgrywamy mecz u siebie z Wygodą (wygraliśmy 3:1). Widzę szarżującego po prawym skrzydle zawodnika drużyny przeciwnej na bardzo dużej szybkości. Nie pamiętam, ale chyba Tadka Żurawka przeszedł. Ja w takich i nie tylko w takich przypadkach starałem się być w ciągłym ruchu, ponieważ pomaga to w znacznym stopniu w zwrotności. Jak to się mówi po sportowemu wszedłem przeciwnikowi „w tempo” i z całej siły wybiłem mu nożycami (bez przewrotki) piłkę z przed nosa ponad głowami koleżanek B. Bachańskiej i U. Frelek w aut. Jaki ja byłem szczęśliwy, że nie trafiłem żadnej z nich piłką w głowę. Na celne wybicie nie miałem ani możliwości ani czasu. To właśnie jedno z tych moich zagrań tak bardzo podobało się Marianowi Anczarskiemu. Przeciwnik też z podziwem spojrzał na mnie od góry do dołu jakby chciał powiedzieć jak ty to zrobiłeś. Zналиśmy się obydwaj. Po tym zagranie jedna z koleżanek (nie pamiętam, która) nie wytrzymała i krzyknęła „Franek nie puszczaj go”. Pamiętam dokładnie, że tak krzyknęła. Było to dla mnie bardzo dopingujące. W ferworze walki nie było czasu ani nie wypadało patrzeć w stronę publiczności, gdy usłyszało się jakieś miłe zdanie. Wiele zdań, o których wspominałem nie byłem w stanie skojarzyć z tym czy innym kibicem. Mogę humorystycznie powiedzieć, że jeśli wychodziło się na boisko to nie po to, aby przyglądać się publiczności. Przypominam sobie przyjemny fakt podczas meczu wyjazdowego w Sobolewie. Było to w pierwszym roku rozgrywek. Przegraliśmy tam, o czym wspomniałem wcześniej. Na czym polegała ta przyjemność, która mnie tam spotkała. Otóż będąc nie jednokrotnie w posiadaniu piłki usłyszałem jak dziewczęta w moim wieku dopingowali mnie, czwórka! czwórka!. Taki numer nosiłem na koszulce. Przypuszczam, że były to dziewczyny z poza Sobolewa, a na meczu znalazły się tylko, dlatego, że uczęszczały do tamtejszego Ogólniaka. A może były to koleżanki

Danusi Oskroby? która się tam uczyła. Był to drugi przypadek, kiedy usłyszałem aprobatę na boisku przeciwnika. O pierwszym wspomniałem, że spotkało mnie to w Garwolinie (po nożycach). Jest to rzadkość i może, dlatego się takie rzeczy pamięta. Rzadkością jest też takie zachowanie się kibiców jak w Śródborowie. Chamstwo też się długo pamięta. Jest rzeczą normalną, że kibice dopingują swoją drużynę, dlatego wcześniej napisałem, że na boisku przeciwnika gra się „pod górkę”. Trudno jest ukryć to, że nasi kibice darzyli nas dużą sympatią tak na boisku jak i poza nim. Byli to kibice w różnym wieku i obojga płci. Idąc w latach pięćdziesiątych w kierunku Frąca ówczesnego młodego nauczyciela, zobaczyłem, że uniósł ręce do góry i zaczął bić brawo. Zaskoczyło mnie to i nie bardzo wiedziałem jak się mam zachować. Spytałem, więc, „O co chodzi?”. W odpowiedzi usłyszałem „Oj widziałem wczoraj, widziałem”. Wymieniliśmy uśmiechy i każdy z nas poszedł w swoją stronę. Inny fakt, otóż po meczu już umyć i odświeżeni spotkaliśmy się prawie w komplecie pod domem Ryśka Rogowskiego. Ktoś z jego domu wyniósł nam pół wiadra koktajlu(wódka z lodami). Nie było to mocne, ale lekki szmerek w głowie poczułem. Idziemy na spacer koło szkoły całą grupą. Pamiętam, że szedłem obok jednego z opiekunów drużyny, Wacława Szeląga- mojego stryjeczego szwagra. Był to człowiek raczej małowówny, takim go zapamiętałem. W pewnym momencie mówi „Franek, ale ty jesteś szybki, żebyś jeszcze do tego ważył o pięć kilogramów więcej”. W odpowiedzi usłyszał, że gdybym ważył więcej, to może nie byłbym taki szybki. Ile ja wtedy ważyłem? Ważyłem rzeczywiście niewiele, bo poniżej 60 kilogramów. Dokładnie nie pamiętam, ale chyba od 57 do 58 kilogramów. Przy wzroście 164 cm., było to bardzo mało. Trudno się dziwić sympatycznym koleżankom, które piszczały z przerażenia, jak walczyłem o piłkę z przeciwnikiem, który ważył 75 kilogramów i mierzył 175cm. Mimo wszystko jakoś radę sobie dawałem. Moi koledzy zapewne mieli przyjemność słyszeć ciepłe słowa pod swoim adresem. Nikt z nas się tym nigdy nie chwalił. Jeśli byliśmy w komplecie podczas przerwy w meczu lub po jego zakończeniu, to niektórzy kibice, którzy podchodzili do nas wyjątków w chwaleniu raczej nie robili. Niejednokrotnie chwalili całą drużynę. Można powiedzieć, że byli bardzo taktowni. Z tego, co zapamiętałem to nie udzielali nam żadnych rad. Czasem coś nam tam podpowiedzieli przed meczem, co udało się im podsłuchać z obozu przeciwnika. Wspominałem, że raz przed meczem poinformowali nas, że uraczyli piwem lub wódką naszych przeciwników ze Świdra lub Józefowa. Śmiać mi się wtedy chciało i teraz też się uśmiecham z tego, iż z oczu kibiców można było wyczytać ich współdziałanie w ewentualnym pokonaniu przeciwnika. Nie pomylili się, mecz wygraliśmy bardzo wysoko 8:1 lub 7:1. Myślę, że bez „pomocy” kibiców też byśmy wygrali, ale może nie tak wysoko. Czego ludzie nie wymyślą, aby bliźniemu pomóc. Wydaje mi się, że pomysłodawcami pomysłu byli dwaj stryjeczni bracia, Michał i Stanisław Całkagorzali kibice. A może któryś z kolegów pamięta lepiej, kto wpadł na ten zabawny pomysł. Opisując pojedyncze epizody, które w tamtych latach miały miejsce i związane były ze sportem, nie sposób nie wspomnieć o następującym fakcie. Mamy za chwilę wsiadać do samochodu na mecz wyjazdowy. Wspominałem, że ilość miejsc była bardzo ograniczona. Ktoś z opiekunów, widocznie nie chcąc robić wyjątków, powiedział następujące krótkie zdanie „Jadą tylko sportowcy”. Wydaje mi

się, że mieliśmy jechać samochodem strażackim. Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwałem ja mówiąc „Niech wujek wsiada”. Słowa te wypowiedziałem do mojego wujka Rafała, który był czołowym kibicem, ale również i „naszym etatowym sędzią liniowym”. Po moim „niech wujek wsiada” znowu cisza. Wujek zrobił to, co należy i na mecz pojechał. Oj byłem ja trochę przekorny. Za powyżej opisane zachowanie nikt mi nie zwrócił uwagi. Nie pamiętam ilu kibiców jeszcze się wtedy z nami zabrało. Myślę, że na podobnych zasadach jeździł z nami, jeśli chciał ojciec Januszka p. Romanek. Był z nami na pamiętnym meczu w Śródborowie. Myślę, że było między nami takie niepisane prawo, że każdy z nas mógł przynajmniej jednego kibica ze sobą zabrać. Ale faktem jest, że wyraźnie wychyliłem się tylko ja. Był to jedyny tego typu incydent. Nie wiem jak ja bym się zachował, gdyby zignorowano moje życzenie. Dobrze, że pozostało to niesprawdzoną kartą. Jednym z najbardziej zagorzałych kibiców był pan Jan Borkowski i jeździł często z nami na mecze wyjazdowe. Jeździł też jako kibic z naszymi starszymi kolegami, którzy grali na przełomie lat 40. i 50. Dziś trudno w to uwierzyć, że nasi starsi koledzy na niektóre mecze pojechali furmanką. Z całą pewnością w taki sposób pojechali do Pilawy. Właśnie na te mecze pan Jan Borkowski jako kibic użyczył własnego konia, chyba drugi był własnością ojca Zdzisława i Stefana Fresków lub Stanisława Serżyski. Kto dziś z młodych ludzi uwierzy, że tak rzeczywiście było. Jak można sobie wyobrazić 11 piłkarzy i chyba nie więcej niż kilku kibiców na jednej furmance. Przypomnę wynik meczu w Pilawie naszych starszych kolegów, brzmiał 3:2 dla Parysowa. Na ten wynik meczu czekałem za swoimi 12 i 13 letnimi kolegami, tak jak nasi młodszy koledzy na wynik meczów, które grałem na wyjazdach ze swoimi kolegami. My jeździliśmy trzema środkami lokomocji- pociągiem, samochodem ciężarowym z Garwolina lub samochodem strażackim z Parysowa. A czym jeżdżą piłkarze z Parysowa dziś na wyjazdowe mecze?

NAJ, NAJ, NAJ

Proszę nie oczekiwać, że wymienię jednego lub dwóch najlepszych piłkarzy mojego pokolenia. Pisałem na ten temat dość obszernie w poprzednich rozdziałach. Nie mniej jednak pozwolę sobie na zaszukanie moich kolegów i spróbuję to uzasadnić. Najwięcej bramek strzelił „Juluś”. O tym wspominałem. Posunąłem się pod tym względem na tyle daleko, że napisałem, iż „Juluś”, jeśli nie był najlepszym piłkarzem, to z całą pewnością do najlepszych należał. Podtrzymuję to, ale autorytatywnie nie stwierdzam, że był najlepszy. Dla mnie „Juluś” był strzelcem wyborowym. My wszyscy znając jego predyspozycje strzeleckie, graliśmy na niego. Nie marnował okazji do strzelania bramek. Strzelał wszystkie rzuty karne i wykorzystał je w 100%. Ja nie pamiętam, aby przestrzelił, choć jedną jednostkę. Wykonując rzut wolny lub różny przeważnie „Julusiowi” nagrywałem na głowę. Myślę, że nie przesadzę, jeśli

stwierdzą, że moi pozostali koledzy czynili podobnie. Mieliśmy do niego zaufanie, ale obiektywnie rzecz biorąc strzelone przez niego bramki były naszym współudziałem. Najczęściej grali Tadek Żurawek i „Leonek”. Nie chcę powiedzieć, że grali brutalnie, bo tak nie było. Co innego grać brutalnie, a co innego ostro. Czym można wytłumaczyć ich ostrość w grze. Chciałbym powiedzieć, że jest to raczej zaleta, a nie wada. Ja tłumaczę sobie to tym, że wynikało to trochę z charakteru a w przypadku „Leonka” z pozycji, na jakiej grał. Piłka nożna jest grą męską i każdy z nas musiał zagrać twardo, jeśli było trzeba. „Leonek” grając na stoperze musiał niejednokrotnie zagrać ciałem, aby rozbić atak przeciwników. Robił on tą ostrą grę, ale przepisów nie przekraczał, bo „zarabiałby” rzuty karne, za co Kazik by go nie „pobłogosławił”. Najbardziej nerwowym zawodnikiem był Rysiek Rogowski, ponieważ najwięcej mówił na boisku. Najpiękniejszą bramkę strzelił „Cabaj”. Pisałem o tym, że „Juluś” szczupakiem, a Stasio Badurek bezpośrednio z kornera też strzelili piękne bramki. Bramka strzelona przez „Cabaja” była bardzo efektowna, ponieważ została uzyskana z dalszej odległości pop poprzeczkę. Jeden z kolegów(nie pamiętam, który) zagrał do „Cabaja”, a ten z pierwszej piłki huknął i stało się to, co wcześniej napisałem. Drzemaly w tym „Cabaju” duże możliwości, ale ja od niego oczekiwałem więcej takich zagrań. Najodważniejszym zawodnikiem był „Leonek”, między innymi Kazik, dlatego nazwał go zaporą nie do przebycia. Niejednokrotnie po meczu schodził z boiska poturbowany. Najwszechstronniejszymi piłkarzami byli „Juluś” i Kazik. Mogli grać na każdej pozycji, od bramkarza do lewoskrzydłowego. Oczywiście, że nie na każdej pozycji czuliby się doskonale, ale zagrać mogli. Obok połowy drużyny mieli obydwie nogi, a jak wiadomo, jeśli piłkarz ma obydwie nogi, to jest mu prawie wszystko jedno, na której stronie boiska gra, na prawej czy lewej. Najlepsze warunki fizyczne miał „Juluś”. Najszybszymi zawodnikami byli Kazik, Januszek i Stasio Badurek(kolejność dowolna).O tym pisałem dość obszernie w tych wspomnieniach. Najgrzecznijszym piłkarzem był Stasio Nowosielski. Grał nawet zbyt miękko. Trzeba zwrócić uwagę na to, że trochę inaczej grało się mecz a trochę inaczej bawiliśmy się piłką między sobą na treningach. Na koniec Rysiek Wardak, już wspomniałem wcześniej, że nie zapamiętałem jego ogromnych walorów, ponieważ graliśmy w przeciwległych strefach boiska. Chyba nie zrobię sympatycznemu Ryškowi przykrości, jeśli powiem, że był wspaniałym piłkarzem pod każdym względem. Z daleka widziałem efekt jego gry, natomiast żadnego szczegółu przytoczyć nie mogę. O sobie nie piszę tym rozdziale ani słowa. Niech mnie koledzy zaszukadkują. Opierając się maksymalnie na faktach , myślę, że napisałem „w mojej przygodzie” i tak najwięcej o sobie. To wystarczy. Nie muszę zapewniać po raz nie wiem, który, że starałem się być obiektywny w każdym calu. Oczywiście dyskutować mogę na ten temat z każdym i nie mówię, że to, co napisałem jest ostateczne.